

SPÓŁECZNA KOMISJA ZDROWIA

# ZESZYTY NIEZALEŻNEJ MYŚLI LEKARSKIEJ

Numer. 8

Sierpień 1986

## Spis treści

### PO KATASTROFIE W CZERNOBYLU

Od Redakcji . . . . .	str 2
Jan Sabliński: O skutkach działania promieniowań jonizujących na organizm człowieka . . . . .	3
Komunikat Społecznej komisji Zdrowia z dn. 28.05.86 r. . . . .	12
Łacek Federowicz: Przyczyny pijanstwa w Polsce . . . . .	12
Antoni Bielewicz: Wezwanie do trzeźwości a prasa. . . . .	21
Józefa Hennelowa: Widziane z domu /Wybór felietonów/.. . . .	26
Lektury: "Marsz szaleńców" . . . . .	34
Nagrody "Prawoici" dla Lecha Wałęsy. . . . .	36

Cena 90 zł



Od tragicznej w skutkach awarii reaktora w Czernobylu minęły już przeszło 4 miesiące. Wiemy już, że w wyniku ostrej choroby popromiennej zmarło 28 osób, a kilkadziesiąt innych znajduje się nadal w szpitalach. Rokowanie co do życia co najmniej kilku z nich jest niepewne lub zgoła niepożyteczne. Tysiące ludzi pozostało tymczasem bez dachu nad głową, wielu z nich wskutek opóźnienia w akcji ratunkowej uległo poważnej ekspozycji na promieniowanie.

Zdajemy sobie również sprawę z tego, że gdyby krytycznego dnia kierunek wiatru był inny i nie zaniósł radioaktywnej chmury nad Szwecję - świat nie dowiedziałby się tak szybko o najpoważniejszym wypadku w historii energetyki jądrowej.

Dziś też już możemy powiedzieć, że skutki wypadku dla Polski, jeżeli chodzi o skażenie środowiska i ekspozycję ludzi na promieniowanie, nie okazały się tak groźne jak można było przypuszczać. Nikt jednak nie powetuje strat, nie powetuje ludziom całych dni niepokoju i lęku.

Wobec powszechnej dezinformacji, znanych dobrze prób, czy raczej intencji, ukrycia prawdy o wypadku i rozmiarach skażenia i gwałtów mówianych niejednokrotnie w środkach masowego przekazu, do których nikt nie ma na jotę zaufania - musiały powstać nastroje paniki. Stworzył się podatny grunt do wszelkich plotek i pogłoszek. Jak mógł ktokolwiek wierzyć w cokolwiek - nawet najrzetelniejszego - jeżeli pani profesor Bożkova /dyrektor Instytutu Matki i Dziecka/ wobec wielomilionowej widowni telewizyjnej, wśród której dużą część stanowili zaniepokojeni rodzice - oczekujący prawdy i porady, zdobyła się jedynie na głupkowaną uwagę, że nareszcie dzieci będą myte.

Takiego lekceważenia zboleiałych ludzi przez lekarza zajmującego odpowiedzialne stanowisko nikt się nie mógł spodziewać. Postawa pani prof. Bożkowej zasługuje na potępienie całego środowiska lekarskiego.

Nie tylko jednak oficjalna propaganda przyczyniła się do panicznych nastrojów panujących zresztą do dziś. Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że jedną z ważniejszych przyczyn dezorientacji, jest brak podstawowej wiedzy z zakresu biologicznego wpływu promieniowania, nie tylko w społeczeństwie, ale przede wszystkim u lekarzy. Stąd też nikt nie umiał udzielić prawidłowych porad co do zachowania się w tych dniach, nikt nie umiał wytłumaczyć mechanizmów działania radioaktywnych związków na ustrój.

Tylko całkowitą ignorancją i przeraźliwym brakiem odpowiedzialności można wytłumaczyć opinię lekarza, który oglądając skórę dziecka oparzoną w gorącym piasku, mówi matce, że to skutek promieniowania! Powszechna niewiedza może też prowadzić oczywiście do zaniedbywania tych środków ostrożności, jakie przedsięwziąć należało.

Społeczna Komisja Zdrowia wydała Komunikat oparty o zdanie wiarygodnych ekspertów, dotyczący zasad zachowania się w tych dniach. Był on opublikowany w Nr 26 "Głosu Medyka".

W większości dotyczy on problemów, które już dziś przeminęły. Ponieważ jednak pojawiły się na nowo wątpliwości dotyczące spożywania niektórych produktów /jagody, grzyby, czarne porzeczki/, a zawarto w tym komunikacie uwagi nie straciły swojej aktualności, przedrukujemy Komunikat w obecnym numerze "Zeszytów".

Chemy ponadto, chociaż w części, uzupełnić lukę w naszym wykształceniu i przybliżyć naszym Czytelnikom /wszystkim, nie tylko lekarzom/ podstawy wiedzy o promieniowaniu jonizującym i jego wpływie na organizm ludzki. Temu celowi służyć ma wydrukowane poniżej monografiiczne, popularnie opracowanie "O skutkach działania promieniowań jonizujących na organizm człowieka".

Autor opracowania, dr hab. Jan Sabliński, jest wybitnym znawcą radiobiologii, a w szczególności wpływu promieniowania na komórki. Od 1957 roku pracował w Zakładzie Radiobiologii i Ochrony Zdrowia Instytutu Badań Jądrowych w Warszawie aż do dezorganizacji przez władze tej doskonałej placówki w latach stanu wojennego. Od 1984 roku pracuje w Poradni Heratologicznej ONKP, gdzie zajmuje się badaniami chromosomalnymi i zagadnieniem tzw. onkogenów, czyli czynników wpływających na rozrost nowotworowy /in. promieniowania/.

Opracowanie niniejsze, które drukujemy razem z innymi autorstwa, oparte jest na najnowszych badaniach, wynikach niezależnych pomiarów radioaktywności i na przemyśleniach własnych autora.

Zawiera minimum wiedzy, które każdy powinien znać.

Awaria w Czernobylu i jej skutki cisną się powoli w przeszłość, ale energia jądrowa jest i będzie wykorzystywana, a z promieniowaniem jonizującym mamy do czynienia na co dzień. Musimy nasze wiadomości na ten temat opierać na rzetelnej wiedzy.

Warto też, abyśmy podchodzili do tych spraw racjonalnie: tak samo jak my mamy prawo żądać od władz, aby w sprawach dotyczących naszego zdrowia nie kierowały się ideologią i



"rację stanu" sąsiedniego kraju, tak i nam nie może zaciemniać obrazu rzeczywistości nie-  
nawiść do "czerwonego".

Zawsze ważna jest PRAWDA i do poznania tej prawdy musimy bezwzględnie dążyć. Dlatego  
do spraw związanych z awarią w Czernobylu będziemy wracać publikując w następnym numerze  
naszego pisma wyniki badań niezależnej grupy specjalistów wraz z ich krytyczną oceną.

Redakcja

Jan Sabliński

## O SKUTKACH DZIAŁANIA PROMIENIOWAN JONIZUJĄCYCH NA ORGANIZM CZŁOWIEKA

Motto : Amicus Plato

Sed magis amica veritas

### I. Wiedza obca Polakom

Awaria w czernobylskiej elektrowni jądrowej wzbudziła zrozumiało zaniepokojenie polski-  
ego społeczeństwa. Nieliczne poważniejsze wypadki w urządzeniach jądrowych zawsze były  
źródłem niepokoju, a ten w Czernobylu, ze względu na brak natychmiastowych i wiarygodnych  
informacji, musiał spowodować nieufność i nastroje paniki, nie tylko zresztą w Polsce.

Przy okazji okazało się, jak nieostateczna jest w polskim społeczeństwie wiedza na te-  
mat promieniowań jonizujących i ich działania na organizm człowieka.

Dlatego wydaje się celowe przedstawienie nieco obszerniejszej, popularnej informacji o  
wpływie promieniowania na strukturę ludzki, wskazującej jednocześnie, jak skomplikowane jest  
dokonanie oceny szkodliwych, późnych następstw działania bardzo małych dawek promieniowa-  
nia. Opinie autora w tej ostatniej sprawie, szczególnie ważnej dla ludności Polski, mają  
oczywiście charakter nieco subiektywny, oparto się one jednak na informacjach zawartych w  
bardzo licznych opracowaniach publikowanych w fachowych czasopismach oraz raportach kompe-  
tentnych organizacji międzynarodowych.

W publikacjach tych wiele miejsca poświęcono, dotyczącej małych dawek, "filozofii" och-  
rony przed promieniowaniem. Użycie w oficjalnych publikacjach wyrażenia "filozofia" wskazu-  
je, że przy ocenie skutków małych dawek promieniowania powinien subiektywizm jest usprawi-  
wiedliwiony.

Mam również nadzieję, że niniejsze opracowanie ułatwi krytyczną ocenę licznych i cią-  
gle jeszcze w różnych publikacjach rozpowszechnianych informacji na temat skutków awarii w  
Czernobylu. Informacje takie pochodzą dość często od ludzi związanych z atomistyką, lecz  
nie zawsze oparte są one na rzetelnej wiedzy w zakresie radiobiologii - czyli tej dzie-  
dziny biologii, która od ponad 50 lat zajmuje się wpływem promieniowań jonizujących na or-  
ganizmy żywe.

Grupa specjalistów-radiobiologów jest w Polsce bardzo nieliczna.

A oto kilka przykładów błędnych informacji.

W "Życiu Warszawy" pewien profesor oświadcza, że zbliżanie się do wielkości granicznej  
dawki promieniowania objawia się w postaci "ogromnego znurzenia" /1/.

W "Kosie" z 25 maja 1986r oprócz kilku nieprawdziwych informacji podano błędnie, że  
promieniotwórczy coz gromadzi się "wybiórczo w płucach i zwiększa ryzyko raka płuc".

Do - delikatnie mówiąc - niezbyt udanych zaliczyć należy wystąpienie telewizyjne nie-  
których ekspertów krajowej komisji rządowej. Również prasa i rozgłośnie zachodnie w pier-  
wszych dniach po wypadku podawały wiele sensacyjnych i nieprawdziwych wiadomości.

Ostatnio w oficjalnych krajowych komunikatach /później odwołanych/ przestrzegano, aby  
nie spożywać czarnych porzeczek i jagód, ponieważ zgromadziły one większe ilości cezu niż  
inne owoce.

Istotnie, znaleziono więcej cezu w czarnych porzeczkach i jagodach - ale ilości to sa  
wielokrotnie, często wiele tysięcy razy mniejsze od przyjętych za dopuszczalne.

Cez zachowuje się w większości zbadanych organizmów żywych jak potas, i w związku z tym  
rozmieścza się dość równomiernie w całym organizmie. A czarne porzeczki i ja-  
gody "lu-  
bia" potas i dlatego intensywniej niż inne owoce gromadzą cez.

Jednak większość cezu w czarnych porzeczkach znaleziono na ich lepkiej, kleistej powie-  
rchni zewnętrznej. Nie ma żadnego powodu, aby nie spożywać tych smacznych owoców. Nie gro-  
zi to żadnym niebezpieczeństwem.

Przykładów błędnych informacji i pogłosek można przytoczyć wiele. Wiele głupstw, nie-  
stety, mówili lekarze udzielając zupełnie błędnych porad, które wynikały z głębokiej nie-  
wiedzy - nikt przecież w Polsce w końcu IX wieku nie uczy studentów i lekarzy podstaw ra-  
diobiologii praktycznej.

Pojawiło się wielu amatorów-radiobiologów, którzy skutkami działania promieniowań joni-  
zujących na organizmy żywe, zaczęli interesować się 26 kwietnia 1986 roku, kiedy to przy-  
stąpili do wykonywania "niezależnych" pomiarów odczytów interpretacji, stosując obcy dla  
większości ludzi, trudny żargon specjalistyczny, a dla oszacowania pochłoniętych dawek -  
porównania z normami obowiązującymi dla stałego narażenia na działanie promieniowania.



Wszystko to pogłębiło nastroje paniki i jest nadal źródłem niepokoju.

## 2. Podstawy

Ludzie od początku istnienia naszego gatunku poddani są działaniu promieniowań jonizujących pochodzących z przestrzeni kosmicznej, z pierwiastków promieniotwórczych zawartych w ziemi, a także w komórkach organizmu oraz w wodzie i żywności. Stanowi to tzw. naturalne tło promieniowania.

Poza tym rozwój medycyny sprawił, że wszyscy poddani jesteśmy działaniu promieniowań z aparatów rentgenowskich, izotopów promieniotwórczych stosowanych w celach diagnostycznych i leczniczych. W normalnych warunkach inne, związane z rozwojem cywilizacji, źródła promieniowania stanowią niewielką część ogólnej "ilości" czyli dawki promieniowania, która działa na nasz organizm.

Sytuacja ta może zmienić się np. wskutek awarii reaktora w elektrowni jądrowej, w szczególności jeżeli nie ma on dostatecznego systemu zabezpieczeń, jak to miało miejsce w Czernobylu.

Wówczas pracownicy elektrowni narażeni są na działanie bardzo dużych, często śmiertelnych, dawek promieniowania. Duże dawki promieniowania mogą w takim przypadku otrzymać również ludzie mieszkający w sąsiedztwie elektrowni jądrowej, a mieszkańcy odległych, nawet o kilkaset kilometrów, okolic narażeni mogą być na działanie małych dawek promieniowania. Pochodzi ona z uwolnionych do atmosfery dużych ilości izotopów promieniotwórczych, z których potencjalnie największe zagrożenie stanowi zwykle jod-131.

Należy podkreślić, że wbrew rozpowszechnionym przez środki masowego przekazu w Polsce od wielu lat informacjom o dużej częstotliwości awarii w elektrowniach jądrowych w Europie Zachodniej, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych, poważne wypadki radiacyjne w reaktorach energetycznych, których jest na świecie około 300, zdarzały się bardzo rzadko.

Na podstawie raportów organizacji międzynarodowych, opartych o informacje z krajów ujmujących wypadki radiacyjne /w ZSRR były to awarie i ofiary śmiertelne, ale nie podano tego do wiadomości publicznej/, można stwierdzić, że do 26 kwietnia 1986r nie było ani jednego przypadku śmierci spowodowanej wypadkiem radiacyjnym w elektrowni jądrowej. Natomiast w reaktorach badawczych od 1945r zarejestrowano około 40 śmiertelnych wypadków /głównie w latach 1950-1970/ oraz około 200 przypadków ostrej choroby popromiennej.

Dotychczas za najważniejszy wypadek jądrowy uznano awarię reaktora energetycznego na Wyspie Trzeciej Mili /Three Mile Island Accident/ w stanie Pensylwania w marcu 1979 roku.

Prasa rządowa chętnie porównuje ten wypadek z awarią w Czernobylu. A były to wypadki zupełnie różne.

Awaria na Three Mile Island zdarzyła się w zupełnie innym rodzaju reaktora z właściwą obudową bezpieczeństwa. Do atmosfery uwolniły się niewielkie stosunkowo ilości izotopów promieniotwórczych. Nie było ofiar śmiertelnych ani zachorowań popromiennych.

Była jednak duża panika. Po wypadku okazało się, że trzech pracowników elektrowni otrzymało bardzo małe dawki promieniowania, takie jak po 3 czy 4 badaniach rentgenowskich.

Nie było skażeń promieniotwórczych w innych krajach. Nikt nie otrzymał dużych dawek promieniowania.

Według szacunków amerykańskich, reaktor w Czernobylu, który uległ awarii "zawierał" około 80 milionów curie jodu-131, którego znaczna część uwolniła się do atmosfery.

Po wypadku na Wyspie Trzeciej Mili w Stanach Zjednoczonych do atmosfery uwolniło się ... 15 curie jodu-131.

Stopień rdzenia reaktora w Czernobylu, które nie jest równoznaczne z wybuchem bomby atomowej, spowodowało uwolnienie do atmosfery oprócz jodu-131, piętnastu innych izotopów promieniotwórczych, czyli radionuklidów. Są wśród nich cez-137, i cez-134, tellur-132, ruthen-103 i 106, cer-141 i 144.

Istotne znaczenie dla wywołania skutków biologicznych ma jednak przede wszystkim jod-131 /połowiczny okres rozpadu 8 dni/ ze względu na jego dużą ilość. Radioaktywne izotopy cesu są również potencjalnie groźne /okresy połowicznego rozpadu około 30 lat/, ale ilości, które zostały uwolnione do atmosfery po awarii czernobylskiej, były wielokrotnie mniejsze od ilości jodu-131 i, jak podają źródła oficjalne, nie stanowiły istotnego zagrożenia.

W Polsce krążyły pogłoski o wtrąceniu w opadzie strontu-90 /okres połowicznego rozpadu około 28 lat/. Jednakże po awarii reaktora nie należy spodziewać się uwolnienia strontu-90, 90, tak jak po wybuchu ładunku jądrowego. W publikacjach z terenu Wielkiej Brytanii i Szwecji na ten temat, na liście radionuklidów zaindowanych w opadzie nie ma strontu-90.

Pozostałe 13 radionuklidów należy do grupy "krótkożyjących", o okresach połowicznego rozpadu od kilku godzin do kilkadziesiąt dni. Są to również izotopy, które nie gromadziły się wybiórczo w żadnych narządach, a ilości ich w opadzie były niewielkie.



Tak więc dla oszacowania dawki promieniowania dla mieszkańców Polski istotne znaczenie ma przede wszystkim jod-131.

Dalsza część tego opracowania poświęcona będzie wyjaśnieniu pojęć takich jak : duża dawka promieniowania, mała dawka, jednostki miar tych dawek, wewnętrzne skażenie promieniotwórczo. Przede wszystkim zwrócona będzie uwaga na ewentualne skutki bardzo małych dawek promieniowania. A to dlatego, że wótkutok awarii w Czarnobylu mieszkańcy Polski otrzymali właśnie bardzo małe dawki promieniowania.

Jak już wspominałem, na temat ich ewentualnych skutków krążą budzące grozę fantastyczne pogłoski, oparte często na niewłaściwej i na pewno niełatwej interpretacji danych z bezpośrednich pomiarów wielkości skażeń promieniotwórczych powietrza, wody, gleby, włosów, ozieży, roślin i owoców.

### 3.50 dawkach promieniowania i skutkach ich działania u ludzi.

Działanie promieniowań jonizujących na organizmy żywe, w tym również zwierzęce i ludzkie, było przedmiotem ogromnej liczby badań.

Promieniowanie jest chyba jednym z najbardziej wszechstronnie zbadanych, potencjalnie szkodliwych, czynników. Wyniki tych badań są oceniane i analizowane przez specjalistyczne organizacje międzynarodowe, takie jak : Międzynarodowa Komisja Ochrony Radiologicznej /ICRP - utworzona w 1928 roku niezależna naukowa organizacja/, Naukowa Komisja dla Oceny Skutków Działania Promieniowania przy ONZ /UNSCEAR/ oraz Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej /IAEA/.

Organizacje te publikują m.in. raporty o działaniu promieniowania na organizmy żywe i o postępowaniu w przypadku awarii jądrowych. Szczególnie znaczenie mają jednak aktualizowane co kilka lat zalecenia tych organizacji, dotyczące ochrony przed promieniowaniem wszystkich mieszkańców Ziemi oraz ludzi narażonych zawodowo na działanie promieniowania. Opracowanie niniejsze w dużym stopniu oparte jest na informacjach z raportów tych międzynarodowych organizacji.

#### Rodzaje promieniowań jonizujących.

Nazwa "jonizujące" obejmuje takie rodzaje promieniowań, które mają dostatecznie dużą energię, aby w materiale, na który oddziałują, wytworzyć naładowane elektrycznie cząstki - czyli jony. W przypadku organizmu człowieka ten efekt jonizacji dotyczy głównie wody, stanowiącej około 70 procent masy większości komórek i całego ciała.

Do promieniowań jonizujących zaliczamy : promienie rentgenowskie /X/ i promienie gamma, które mają charakter fal elektromagnetycznych i odznaczają się dużą przenikliwością; promieniowania o charakterze cząstkowym tj. cząstki alfa i beta / o małej przenikliwości albo zasięgu/ oraz neutrony i inne ciężkie cząstki, które cechuje duża przenikliwość.

Uszkodzenie komórek napromienionego organizmu jest wynikiem działania wytworzonych jonów, a także bezpośredniego działania promieniowania na składniki ważne dla życia komórki.

Zróżdka promieniowań jonizujących mogą być urządzenia takie jak : aparaty rentgenowskie, przyspieszacze cząstek /akceleratory/, reaktory jądrowe oraz izotopy promieniotwórcze stosowane w medycynie i przemyśle takie jak : kobalt-60 /tzw. bomba kobaltowa/, ameryk-241 czy izotop wodoru - tryt-3H/.

W warunkach pokojowych człowiek może być poddany działaniu promieniowania ze źródeł zewnętrznych np. z aparatu rentgenowskiego, lub też może wprowadzić do organizmu izotopy promieniotwórcze drogą oddechową /z powietrzem wdychanym lub z żywnością czy wodą/. W takim przypadku mówimy o wewnętrznym skażeniu promieniotwórczym lub napromienieniu ze źródeł wewnętrznych.

Skutki działania promieniowań jonizujących z różnych źródeł na organizm człowieka zależą od wielu czynników. Najważniejsze z nich to :

- 1/ wielkość pochłoniętej energii /dawki/ promieniowania przez cały organizm lub jego część /tkankę lub narząd/,
- 2/ objętość /obszar/ ciała poddany działaniu promieniowania,
- 3/ czas, w którym ta energia /dawka/ została pochłonięta,
- 4/ rodzaj promieniowania.

Zacznijmy od końca tj. od rodzaju promieniowania.

Otóż wszystkie rodzaje promieniowania /X, gamma, alfa, beta, neutrony, protony i inne/ wywołują w komórkach - a więc i w całym organizmie - takie same jakościowe skutki.

Nie ma uszkożeń typowych dla promieni X czy cząstek alfa lub neutronów. Istnieją jedynie różnice ilościowe.

Tak np. aby wywołać neutronami zmętnienie wózewki oka /zaćmę/, wystarczy zastosować dawkę 10 razy mniejszą niż promieni gamma. Mówimy wówczas, że względna skuteczność biologiczna /odpowiada to tzw. współczynniki jakości/ neutronów w oświeśleniu do wywołania



zaćmy wynosi 10. Dla rozmaitych rodzajów promieniowań i innych skutków ich działania, wartości tego współczynnika są różne i mogą wahać się od 2 do 20.

Fakt, że promieniowania o charakterze cząstkowym /neutrony, cząstki alfa i beta, protony i inne/ mają różną skuteczność, zależną jeszcze od ich energii, ma szczególne znaczenie dla interpretacji wyników pomiarów skażeń promieniotwórczych izotopami emitującymi cząstki alfa i beta lub skutków napromieniowania neutronami.

Najważniejszym czynnikiem decydującym o rodzaju i czasie wystąpienia uszkodzeń popromiennych w organizmie, jest wielkość pochłoniętej przez komórki dawki promieniowania. Miarą jej jest ilość energii udzielonej na masę tkanki /grupy komórek/.

Jednostką pochłoniętej dawki promieniowania był do niedawna rad /od angielskiego: radiation absorbed dose/. Jeden rad jest równy 100 ergom energii pochłoniętej na 1 gram tkanki. Od kilku lat obowiązuje inna jednostka, zwana grejem /Gy/. Jeden grej równa się 1 dżul /J/ na 1 kg. A więc 1 grej równa się 100 radów.

Różnice ilościowe działania rozmaitych promieniowań uwzględnia dawka wyrażana dawniej w ramach /rem - rentgen albo rad equivalent for man/. Jest to dawka, a właściwie równoważnik dawki, w ramach pomiarowy przez odpowiedni, dla danego promieniowania, współczynnik jakości. Upraszczając nieco powiadać, że 1 rem to taka dawka dowolnego rodzaju promieniowania, które spowoduje takie same skutki biologiczne, jak 1 rad promieni X czy gamma.

Obecnie zamiast remów używa się siwertów. 1 siwert /Sv/ równa się 100 remów.

Oceniając skutki działania promieniowań innych niż rentgenowskie i gamma należy postu- giwać się tymi właśnie, wyrażonymi w siwertach, równoważnikami dawki promieniowania.

Jak widać, ustalenie rzeczywistej ilości pochłoniętej przez komórki organizmu dawki, nie zawsze jest łatwe i zależy w dużym stopniu od tego, jaka wartość współczynnika jakości zostanie przyjęta. A wiele spośród nich to wartości urowne.

I jeszcze jedna miara dotycząca ilości promieniotwórczości.

Wyraża się ona w bekerelach /dawniej curie/. Jeden bekerel /Bq/ oznacza jeden rozpad pierwiastka promieniotwórczego na sekundę.

U ludzi skażonych radionuklidami, szczególnie emitującymi cząstki alfa czy beta /np. radon-222 i produkty jego rozpadu, czy tryt/, obliczenie wielkości dawki zamiast onej biologicznie w siwertach na podstawie wielkości zmierzonych w bekerelach, też nie jest zabiegiem prostym.

Bekerelle weszły ostatnio na stołec do repertuaru licznych dyskusji. Warto pamiętać, że jest to dawka o 37 miliardów razy mniejsza od stosowanej przez wiele lat jednostki: curie. Dawniejsze ułamki mikrocurie zastąpiły obecnie tyżiaste bekereli. Podawanie ilości promieniotwórczości w bekerelach potęguje efekty psychologiczne, chociaż, jak już wspomniano, jest to dopiero podstawa do oszacowania wielkości dawki pochłoniętej przez dany narząd czy całe ciało.

Uszkodzenia popromienne zależą o d wielkości obszaru /objętości/ ciała, w którym pochłonięta została określony dawka promieniowania.

Tak np. uważa się, że około 400 remów /albo 4,0 siwerty/ pochłonięte przez całe ciało spowoduje śmierć 50 proc. napromieniowanych, nie leczonych ludzi. Ale ta sama dawka na bardzo małą objętość tkanki, np. guza nowotworowego, spowoduje śmierć komórek tego guza, nie wywołując żadnych lub tylko nieznaczne zmiany w całym organizmie.

Dlatego w leczeniu nowotworów można stosować lokalnie duże dawki promieniowania..

Czas, w którym dawka promieniowania została pochłonięta /tzw. moc dawki/, ma również ważne znaczenie dla rodzaju i czasu wystąpienia uszkodzeń popromiennych.

Wspomniana już dawka 400 remów pochłonięta w ciągu sekundy czy minut, doprowadzi do rozwoju ostrej choroby popromiennej, która nie leczona może być przyczyną zgonu. Ta sama dawka /400 remów/ "zgromadzona" w ciągu np 20 lat /po 20 remów rocznie/ nie spowoduje choroby popromiennej, ale zwiększy w istotny sposób prawdopodobieństwo wystąpienia jednej z licznych chorób nowotworowych u napromieniowanego człowieka.

Jest to bardzo ważny dla ochrony przed promieniowaniem efekt kumulowania małych dawek, który omówimy dokładniej w dalszej części opracowania.

#### 4. Rodzaje uszkodzeń popromiennych u ludzi

Skutki działania promieniowań jonizujących u ludzi można podzielić na somatyczne, dotykające wszystkich komórek ciała z wyjątkiem komórek rozrodczych oraz genetyczne /dziedziczne /, które mogą powstać w wyniku uszkodzenia informacji genetycznej /DNA/ zawartej w komórkach rozrodczych.

Skutki genetyczne mogą wystąpić w pierwszym lub dalszych pokoleniach napromieniowanych rodziców, a tym samym należą do grupy następstw późnych.

Wśród skutków somatycznych wyróżnia się wczesne i późne.

Wczesne to takie, które ujawniają się w ciągu pierwszych kilku dni, tygodni czy nie-



sięcy po napromieniowaniu. Występują one po napromieniowaniu dużymi dawkami promieniowania na całe ciało lub znaczną jego część, powodując ostrą chorobę popromienną. Duże dawki pochłonięte lokalnie np. na małej powierzchni skóry, mogą spowodować oparzenia popromienne, podobne do oparzeń termicznych.

Ostra choroba popromienna może mieć różny przebieg, w zależności od wielkości pochłoniętej dawki.

Kiedy wynosi one od 150-200 do 1200 remów /1,5-12 Sv/ rozwija się tzw. zespół szpikowy w którym dominują objawy uszkodzenia tkanki krwiotwórczej i limfatycznej takie, jak znaczna niewydolność układu odpornościowego, a więc podatność na wszelkie zakażenia, skłonność do krwawień i krwotoków, a później niedokrwistość.

Istnieje możliwość wyleczenia tej postaci choroby. Wśród różnych leków i zabiegów stosuje się także, jak u ofiar awarii w Czernobylu, przeszczepianie komórek szpiku od specjalnie dobranych dawców.

Dawki od 1300 do 3000 remów /13-30 Sv/ powodują zespół jelitowy.

W zespole tym oprócz uszkodzenia szpiku, powstają duże zmiany w przewodzie pokarmowym i związane z tym zaburzenia gospodarki wodno-mineralnej organizmu.

Szansa przeżycia leczonego zespołu jelitowego choroby popromiennej jest niewielka i nie przekracza 5 procent.

Jeszcze większe dawki, powyżej 4000 remów, wywołują zespół mózgowy choroby popromiennej i śmierć w ciągu kilkunastu godzin lub kilku dni.

Tak wielkie, jak podana wyżej, dawki promieniowania w warunkach pokojowych mogą otrzymać ludzie w przypadku powszechnych awarii urządzeń jądrowych. Prawdopodobnie u wielu umieszczonych w szpitalu pracowników elektrowni w Czernobylu, wystąpił zespół szpikowy i jelitowy ostrej choroby popromiennej.

Należy podkreślić, że uchwytne w klinicznych badaniach laboratoryjnych zmiany po napromieniowaniu, występują dopiero po dość dużych dawkach około 50 remów /0,5 Sv/. Polegają one na zmniejszeniu liczby krwinek białych, głównie limfocytów.

W tym zakresie dawek /20-50 remów/ można również wykryć w limfocytach krwi obwodowej, uszkodzenia chromosomów. Niektóre z tych uszkodzeń chromosomów wykryć można nawet po upływie miesięcy a nawet lat, po napromieniowaniu.

Badania anomalii chromosomowych stosowane są jako dozymetry biologiczne.

Dla pokojowego zastosowania energii jądrowej i określenia bezpiecznych warunków pracy ze źródłami promieniowania, a także dla oceny ewentualnego zagrożenia bardzo małymi dawkami promieniowania, szczególnie znaczenie ma dokładna znajomość późnych skutków promieniowania, zarówno somatycznych jak i genetycznych, które już z definicji należą do skutków późnych.

Sprawa ta jest tak ważna, ponieważ skutki późne mogą występować po dawkach mniejszych od powodujących skutki wczesne. Poza tym w przypadku późnych skutków występuje, wspomiane uprzednio, zjawisko "gromadzenia" czyli skumulowanego działania małych dawek.

Najważniejszym skutkiem późnym somatycznym jest zwiększenie częstości występowania chorób nowotworowych, a genetycznym zwiększenie częstości występowania chorób dziedzicznych.

Na temat dziedzicznych następstw promieniowania u ludzi, nie mamy żadnych danych pochodzących z obserwacji populacji ludzkich. Nawet u około 80.000 dzieci poczętych przez rodziców napromieniowanych w czasie wybuchów bomb atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki, nie udało się dotychczas wykryć zwiększonej częstości występowania chorób dziedzicznych. Naturalna częstość ich występowania jest bardzo mała. Być może badana populacja nie jest dostatecznie liczną dla wykrycia efektu genetycznego.

Z doświadczeń na zwierzętach, od czasu słynnych badań na myszkach owocowych H.J. Mullera z 1927 roku, wiadomo, że promieniowanie jonizujące może powodować szkodliwe zmiany /mutacje/ w informacji genetycznej. Obserwacje te potwierdzono w doświadczeniach na wielu setkach tysięcy myszy. Ale nie potrafimy wyodrębnić jeszcze na tej podstawie wiarygodnych wniosków o zależności między dawką promieniowania a skutkami dziedzicznymi u ludzi.

Zakłada się z przesadną chyba ostrożnością, że każda, nawet najmniejsza dawka promieniowania może narządy rozrodcze, może być szkodliwa genetycznie. Jednocześnie różne oficjalne zalecenia głoszą, że dawka podwajająca naturalną częstość mutacji /około 1 na 100.000/ wynosi od 20 do 250 remów, czyli 0,2-2,5 Sv /1/.

Rozstrzygnięcie omawianego problemu nie nastąpi na pewno szybko.

Promieniowania jonizujące nie wywołują żadnych charakterystycznych chorób dziedzicznych, a jedynie mogą zwiększyć prawdopodobieństwo występowania tych, które zdarzają się z niewielką częstością w całej populacji ludzkiej. Można spodziewać się, że po małych dawkach, np. 10 czy 20 remów, na bardzo nawet liczną populację, nie uda się wykryć zwiększonej zachorowalności na choroby dziedziczne.



## 5. Popromienna choroba nowotworowa

Od ponad 50 lat wiadomo, że promieniowania jonizujące mają działanie rakotwórcze. Jest to jeden z najpoważniejszych późnych somatycznych skutków działania promieniowania.

Związania częstości występowania chorób nowotworowych w latach 1902-1950 stwierdzano m.in. u pionierów radiologii /raki skóry dłoni/, górników kopalni uranu /raki płuc/, a także u dzieci leczonych napromieniowaniem okolic szyi i klatki piersiowej /raki tarczycy/.

We wszystkich przypadkach ludzie ci otrzymali duże dawki promieniowania, tj. zwykle powyżej 100 remów na komórki skóry, nabłonka oskrzeli czy tarczycy.

Szczególne zaniepokojenie rakotwórczym działaniem promieniowań jonizujących wzbudziło stwierdzenie zwiększonej zachorowalności na białaczkę u napromieniowanych Japończyków, którzy przeżyli wybuchy bomb atomowych. W latach 1947-1974 stwierdzono w objętej badaniami populacji japońskiej liczącej ponad 200.000 ludzi, o 181 przypadków białaczek więcej od przewidywanej, czyli przypadkowej, liczby zachorowań. Dotyczyło to ludzi, którzy, jak oszacowano, otrzymali na czepik kostny dawki powyżej 100 remów.

Później pojawiły się doniesienia o większej częstości zachorowań u napromieniowanych Japończyków na raka sutka, tarczycy, płuci i w nieco mniejszym nasileniu na raka żołądka, przełyku i pęcherza moczowego.

Japońsko-amerykańska komisja obserwuje losy około 295.000 ludzi, którzy w sierpniu 1945 roku znajdowali się w zasięgu działania promieniowania po wybuchach bomb w Hiroszimie i Nagasaki. W latach 1950-1974 w obserwowanej grupie znotowano około 70.000 zgonów z przyczyn naturalnych. Szacuje się, że z tej liczby od 400 do 600 zgonów spowodowały nowotwory wywołane działaniem promieniowania. Dzięki promieniowaniu, które otrzymali ci ludzie, przekraczały jednak zwykle 50 remów /0,5 Sv/.

Popromienne nowotwory występują po upływie wielu lat, od pochłonięcia jednorazowej, dość dużej dawki promieniowania, lub po pochłonięciu takiej samej, sumarycznej dawki w ciągu kilku czy kilkunastu lat.

Najwcześniej, tj. po upływie od 4 do 5 lat pojawiają się białaczki; guzy łite /np. rak żołądka, sutka itp./ ujawniają się zwykle jeszcze później - 15-20 a nawet 30 lat po napromieniowaniu. Są to więc istotnie późne skutki działania promieniowania. Mogą one występować również po napromieniowaniu ze źródeł zewnętrznymi, ale także po dostatecznie dużym skażeniu izotopami promieniotwórczymi wprowadzonymi do wnętrza organizmu.

Opisane obserwacje z Japonii potwierdziły wyniki badań ludzi napromieniowanych dużymi dawkami w celach leczniczych oraz wyniki doświadczeń na zwierzętach.

Nie ulega więc wątpliwości, że promieniowania jonizujące mają działanie rakotwórcze, ale wszystkie opisane obserwacje dotyczyły populacji napromieniowanych dość dużymi dawkami jednorazowo lub mniejszymi, lecz powtarzаныmi przez dłuższy czas.

Należy jeszcze dodać, że rakotwórcze działanie promieniowania jest zjawiskiem o charakterze stochastycznym, co w uproszczeniu oznacza, iż człowiek napromieniowany dawką rakotwórczą, ma tylko zwiększone prawdopodobieństwo zachorowania, ale nie musi zachorować.

Nie można też przewidzieć, który osobnik w grupie ludzi napromieniowanych taką samą rakotwórczą dawką zachoruje, a jeżeli zachoruje, to czy na pewno na skutek napromieniowania.

Czy małe dawki promieniowania, tj. około 20 czy 10 remów, a więc kilkaset czy też kilka tysięcy razy większe od przeciętnych dawek, które po katastrofie w Czarnobylu otrzymali mieszkańcy Polski - głównie na terytorium, mogą zwiększyć prawdopodobieństwo rozwoju złośliwego nowotworu?

Odpowiedź na to pytanie zależy od zastosowania wspomnianej na wstępie "filozofii" w zakresie ochrony przed promieniowaniem.

W przepisach zalecanych przez Międzynarodową Komisję Ochrony Radiologicznej przyjęta jest zasada, że każda, najmniejsza nawet dawka promieniowania może zwiększyć prawdopodobieństwo rozwoju nowotworu. Ale w innych zaleceniach ta sama Komisja stwierdza: "należy pamiętać, że przyjęcie tej zasady może w niektórych przypadkach powodować niezwykle przesadną ocenę częstości skutków po przewidywanym napromieniowaniu różnymi dawkami; w rzeczywistości niektóre skutki mogą w ogóle nie wystąpić".

Innymi słowy, w przepisach ochrony radiologicznej przyjęto istnienie liniowej, bezprogowej zależności między wielkością dawki i skutkiem. Liniowa zależność została wykazana w obszarze dużych dawek, u ludzi powyżej 50 remów. Poniżej tej dawki istnieje obszar niepewności.

Jednak nie ma żadnych dowodów doświadczalnych ani obserwacji u ludzi, które pozwalałyby z większym prawdopodobieństwem twierdzić up. że dawka 0,1 rena /1 milisieverta/ pochłonięta przez skórę środka policzka przy zdjęciu rentgenowskim zęba, zwiększy prawdopodobieństwo rozwoju raka skóry. A dawki rzędu milisievertów otrzymujemy wielokrotnie w czasie różnych badań.

Na czym więc oparta jest ta pesymistyczna filozofia o szkodliwym działaniu bardzo ma-



Podstawę stanowią obserwacje i doświadczenia, w których stosowano duże dawki i następnie przeliczono ich wyniki w odniesieniu do małych dawek.

Upraszczając nieco wygląda to tak: wśród 10.000 myszy, z których każda napromieniowano dawką 50 remów, stwierdzono o 100 nowotworów więcej niż w grupie nie napromieniowanej. Oblicza się dawkę sumaryczną: 10.000 myszy x 50 remów równa się 500.000 myszo/remów /to nie żarty, używa się w przepisach ochrony radiologicznej określenia osobo/siwerty lub osobo/remy/, która powoduje wspomniane 100 nowotworów.

Wobec tego, jeżeli spośród 100.000 myszy każda otrzyma tylko 5 remów, to dawka sumaryczna też wyniesie 500.000 myszo/remów, co da również 100 zachorowań na nowotwory.

Jest to oczywiście niezwykle uproszczone, mechanistyczne rozumowanie wzbudzające zrozumiałe wątpliwości u ludzi badających mechanizmy przekształcenia komórek zdrowych w nowotworowe oraz zjawisko progresji czyli rozwoju nowotworów.

Jeden z czołowych radiobiologów amerykańskich Artur C. Upton w czasie głośnej przed kilku laty dyskusji na temat szkodliwego złażenia małych dawek napisał, że "uzyskane dotychczas dane wskazują, że zagrożenia spowodowane małymi dawkami promieniowania, jeżeli w ogóle istnieją, to są tak niewielkie, że nie można ich wykryć".

#### 6. Ekspozycja na szkodliwy rak tarczycy w Polsce

Przechodząc na teren Polski można stwierdzić, że dawki, które otrzymaliśmy po awarii w Czernobylu, zaliczyć należy do kategorii bardzo małych.

Według opublikowanych szacunków wynosiły one średnio od 100 do 200 miliremów /1-2 mSv/ Są to przeciętne wielkości dawek, pochłonięte przez "przeciętnego" mieszkańca Polski w przeliczeniu na całe ciało, a także tzw. narządy krytyczne, a więc szpik kostny i narządy rozrodcze.

Podważana jest czasem wiarygodność oficjalnych danych o wielkości dawek w Polsce. Porównując te dane z opublikowanymi w Anglii i Szwecji można przyjąć, że są one wiarygodne. Podobna byłaby przeciętna dawka na tarczycę, która w normalnych warunkach otrzymuje z naturalnych źródeł około 1000 mikrosiwertów czyli około 100 remów.

W północno-wschodnich częściach kraju zdarzyły się pojedyncze przypadki napromieniowania tarczycy u dzieci znacznie większymi dawkami tj. około 50-60 remów.

Dotyczyło to zwykle sytuacji, w których nie przestrzegano zaleceń o wstrzymaniu się od spożywania świeżego mleka itp. Dzieci te powinny być i, o ile wiem, są objęte opieką właściwych instytucji.

A jaka jest szansa, że mogą zachorować za 15 czy 30 lat na raka tarczycy?

Szansa ta jest na pewno większa, odd przeciętnej w Polsce /patrz niżej/ i wynosi być może nie 1 na 100.000 lecz 10 czy 15 na 100.000.

A więc nie oznacza to wcale, że dawka 50 czy 60 remów musi spowodować rozwój raka.

#### Zwiększa ona tylko prawdopodobieństwo zachorowania.

Należy przypomnieć, że informacje o popromiennych nowotworach tarczycy pochodzą głównie z badań wykonanych u dzieci leczonych w latach 50-tych promieniami  $\alpha$  z powodu grzybic strzygącej skóry lub powiększenia gruczołu. Dawki, które przy tej okazji pochłonięła tarczycę wskutek napromieniowania szyi, były bardzo duże i w większości przypadków przekraczały 100 a nawet 500 remów. Oczywiście, stosując opisaną wyżej pesymistyczną filozofię, można wyliczyć kilka czy też kilkanaście nowych zachorowań na raka tarczycy po upływie 15 do 20 lat.

Podana wyżej przeciętna dawka, którą otrzymał przeciętny /każdy/ mieszkaniec Polski /od 100 do 200 miliremów/, jest zbliżona do rocznej dawki ze źródeł naturalnych.

Notowane w kraju, a szczególnie w jego północno-wschodnich rejonach, zwiększenie mocy dawki wkrótce po wypadku byłoby groźne dla zdrowia i dawka większą dawkę sumaryczną, gdyby utrzymywało się przez wiele miesięcy czy lat. Ale moc dawki zmniejszała się tam bardzo szybko. Tak np. według niezależnych wiarygodnych pomiarów 30 kwietnia 1986r moc dawki w północno-wschodniej Polsce wynosiła około 5 mikrosiwertów na godzinę, a 14 maja już tylko 0,7-0,8 mikrosiwertów i zmniejszała się dalej aż do osiągnięcia normalnego poziomu, tj. około 0,5 mikrosiwerta na godzinę.

Należy przypomnieć, że nieznacznie podwyższone tło promieniowania w pewnych ograniczonych obszarach, może utrzymywać się jeszcze dość długo, ale wpłynię to w bardzo miłym stopniu na sumaryczną, roczną dawkę, która jest wyżej podano wyniosła od 100 do 200 miliremów /od 1 do 2 mSv/ w przeliczeniu na całe ciało. Podobnie kształtuje się wielkość dawki na tarczycę.

Należy tu podkreślić, że wbrew pogłoskom, uszkodzony reaktor w Czernobylu, w drugiej połowie czerwca i w lipcu 1986r nie uwolnił już izotopów promieniotwórczych do atmosfery. Tak wielomiejscu poświęcam tu raka w tarczycy, ponieważ potencjalnie największym za-



grożeniem po czernobylskim skażeniu atmosfery był jod-131. Stężenie innych radionuklidów, które zaliczane są do groźnych dla ludzi, takich jak cez-137 nie przekraczała niebezpiecznych poziomów.

Jak już wspomnieliśmy, pozostało 14 radionuklidów, które weszły do atmosfery, też nie stanowiły istotnego zagrożenia.

W tarczycy gromadzi się około 30 procent wprowadzonego do organizmu jodu-131. Rak tarczycy nie należy do częstych nowotworów złośliwych.

W Polsce w 1985 roku było 69.739 nowych zachorowań na złośliwe nowotwory. Z tej liczby 380 osób zachorowało na raka tarczycy /283 kobiety i 97 mężczyzn/. Wskaźniki zachorowalności wynosiły więc dla kobiet 1,5 a dla mężczyzn 0,5 na 100.000.

Przyjmując nawet nieudowodnione założenie, że każda najmniejsza dawka jest rakotwórcza, ale uwzględniając też zmienność naturalną wskaźników zachorowalności, wyrażam przekonanie, iż nawet podjęte oficjalnie przyznanie pewnego zwiększenia liczby zachorowań na raka tarczycy po czernobylskim skażeniu, nie będzie mogło być wykazane.

### 7. Środki zapobiegawcze i rzeczywiste niebezpieczeństwo

Czy wobec tego celowe było zapobiegawcze, chociaż znacznie spóźnione podawanie preparatów jodu w celu "zablokowania" tarczycy?

Sądzę, że w dzieci było to uzasadnione, chociażby ze względów natury emocjonalnej.

Celowe były również zalecane ograniczenia w spożywaniu mleka /jod-131 odbywa następującą drogą: skażona trawa - krowa - mleko - człowiek i na tej drodze, początkowe i stężenie zmniejsza się/ i niektórych "nowalijek".

Natomiast niepotrzebne było zamknięcie dzieci w kilka dni po wybuchu na 10 i więcej dni w mieszkaniach, a zupełnie tragicznym nieporozumieniem było zalecanie kobietom, aby przerywały ciążę. Zarodek i płód są bardziej podatne na działanie promieniowania, ale dotyczy to znacznie większych dawek, niż te, które mogły otrzymać kobiety w ciąży na "szczytach" promieniotwórczości w Polsce.

Należy tu przypomnieć, że około 5 procent noworodków urodzonych w warunkach normalnych, czyli bez ekspozycji na promieniowanie, wykazują różnego stopnia wady rozwojowe i choroby dziedziczne.

Dużo niepokoju wzbudzały wyniki "prywatnych" pomiarów promieniotwórczości włosów, kurzu z mebli, parapetów, chodników itp.

Stwierdzano oczywiście zwiększenie liczby impulsów albo bekereli lub też mocy dawki. Ale aby wyniki te odnieść do dawki promieniowania pochłoniętej przez tzw. narządy krytyczne takie jak szpik kostny, tarczyca czy narządy rozrodcze, trzeba wiedzieć, od jakich izotopów promieniotwórczych pochodzi promieniowanie, w jakich związkach chemicznych występują, a także jakie są drogi ich wniknięcia do organizmu. Dopiero po obliczeniu wielkości dawki pochłoniętej przez poszczególne narządy można byłoby rozpocząć wyliczanie skutków, rozważając jaką filozofia ochrony przed promieniowaniem powinna być zastosowana..

Wszystko, co dotychczas zostało napisane, nie zmienia faktu, że awaria w Czernobylu była największym wypadkiem radiacyjnym w historii pokojowego zastosowania energii jądrowej. Ale nie powinno to również wzbudzać nieuzasadnionych obaw czy paniki.

Należy również pamiętać, że można budować, i są budowane, elektrownie jądrowe, które mają dostatecznie pewny systemy zabezpieczeń. Sporządzono już dawno projekty nowych, znacznie bezpieczniejszych reaktorów energetycznych.

Wypadek w Czernobylu nie powinien przekreślić przyszłego i chyba nieuniknionego rozwoju, bezpiecznej energetyki jądrowej.

### 8. Promieniowanie ze źródeł naturalnych a ekspozycja po awarii

Na zakończenie warto wyjaśnić, co to jest często ostatnio powtarzane określenie "naturalne tło promieniowania".

Jest to wspomniana na wstępie dawka promieniowania, która pochodzi ze źródeł naturalnych. Zastawiono je w tabeli.

Z tabeli wynika, że każdy człowiek otrzymuje co rok ze źródeł naturalnych dawkę promieniowania, która w naszej szerokości geograficznej wynosi około 2,0 mSv /200 miliremów/

Do tego doliczyć trzeba około 50 procent z wytworzonych przez człowieka źródeł, przede wszystkim stosowanych w medycynie. Czyli rocznie szpik kostny i narządy rozrodcze - te są najważniejsze ze względu na późne skutki promieniowania - otrzymują około 3 mSv /300 miliremów/. Jest to dawka większa niż średnio dawki otrzymane przez ludzi w Polsce po awarii w Czernobylu.

Dodać należy, że w niektórych rejonach świata /Indie, Nigeria, Madagaskar, Brazylia/ ze względu na dużą promieniotwórczość ziemi /skał/ dawka roczna ze źródeł naturalnych jest kilka, a nawet kilkanaście razy większa. W rejonach tych nie stwierdzono większej zachorowalności na choroby nowotworowe ani dziedziczne.



WIELKOŚCI DAWEK PROMIENIOWANIA - dane wg Raportu UNSCEAR 1982

Źródło promieniowania	Roczna dawka /równoważnik/ w mSv /milisiwertach/			
	Zróżka zewnętrzne	Zróżka wewnętrzne /w organizmie/	Razem	
Promienie kosmiczne	0,30		0,30	
Radionuklidy z przestrzeni kosmicznej		0,015	0,015	
Radionuklidy z ziemi :				
Potas-40	0,12	0,18	0,30	
Rubid-87		0,006	0,006	
Uran-238 i pochodne	0,09	0,95	1,04	
Tor-232 i pochodne	0,14	0,19	0,33	
Razem /zaokrąglone/	0,65	1,34	2,00	

Podobnie nie ma wiarygodnych doniesień o zwiększonej zachorowalności na te choroby u pracowników przemyśłu jądrowego, których znaczna część otrzymuje dodatkowo w ciągu roku dawkę równą kilku lub kilkunastu milisiwertom. Poziom graniczny dla tych pracowników /50 mSv/ na rok jest rzadko przekraczany.

I jeszcze jedno zestawienie. Tym razem obrazujące, jaki jest procentowy udział różnych źródeł promieniowania w ogólnej rocznej dawce promieniowania /około 3 mSv/, który otrzymuje mieszkaniec Wielkiej Brytanii.

Tak więc około :

78 proc. - ze źródeł naturalnych,

20,7 proc. - ze źródeł medycznych,

0,4 proc. - z opadów promieniotwórczych po próbnym wybuchach ładunków jądrowych,

0,4 proc. - ze źródeł różnych,

0,4 proc. - z narażenia zawodowego przeliczonego na ogół ludności,

0,1 proc. - z uwolnień promieniotwórczych z elektrowni jądrowych.

Źródła różno to m.in. były z elektrowni zasilanych węglem, nawozy fosforowe, materiały budowlane, telewizory, różne urządzenia elektroniczne, czujniki dymu, farby świecące itp.

Promieniowanie jonizujące oddziałują wszędzie.

W czasie pisania tych słów wdycham uwalniany ze ścian mojego pokoju radon-222, którego krótko żyjące produkty rozpadu emitują cząstki alfa działające na komórki nabłonka oskrzeli, a z zewnątrz oddziałują większe dawki promieni kosmicznych. Na szczęście spadły do szczytu i wbrew plotkom - to dołży. Radionuklidy z trawy, krzewów i powierzchni gleby porośnięte dawały głąbicy i będą się rozpaść i zmniejszać zagrożenie. I na pewno, znów wbrew plotkom nie rozbudzą promieniotwórczości w składnikach gleby.

A czy dawka 3 mSv rocznie ze źródeł naturalnych i sztucznych może być rakotwórcza ?

Szacunki specjalistów wyglądają tak : przyczyną od 80 do 90 procent wszystkich chorób nowotworowych są czynniki środowiskowe, inne niż promieniowanie. Uważa się, że główny udział mają związki rakotwórczo zawarte w żywności oraz dymie tytoniowym. Około 10 procent to czynniki dziedziczne, a promieniowanie mogłoby być przyczyną mniej niż 2 - 3 proc. ogólnej liczby nowotworów.

Piszący te słowa uważa, że i ten szacunek jest przesadzony, że dawka 3, a nawet 10 mSv, nie powinna być rakotwórcza. Nie ma żadnych przekonujących dowodów naukowych, aby tak małe dawki działały rakotwórczo.

Nawiązując raz jeszcze do tragicznego i najpoważniejszego spośród dotychczasowych wypadków w elektrowni jądrowej w Czarnobylu, wyrażam przekonanie, że istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, aby był on przyczyną wykrywalnych, szkodliwych dla zdrowia skutków u mieszkańców Polski i ich potomstwa.



KOMUNIKAT SPOŁECZNEJ KOMISJI ZDROWIA z dnia 28.05.1986r.

Liczne pytania kierowane do naukowców, a dotyczące zalecanego sposobu postępowania po katastrofie w Czernobylu, świadczą nie tylko o zaniepokojeniu społeczeństwa, ale i o powszechnym braku zaufania do komunikatów Komisji Rządowej.

W tej sytuacji SPOŁECZNA KOMISJA ZDROWIA powołała grupę specjalistów, która opierając się na wynikach badań niezależnych grup pomiarowych oraz Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej, opracowała poniższe ZALECENIA.

I. Pożywienie

- zalecany w dalszym ciągu nie podawać zwykłego mleka ani przetworów mlecznych dzieciom do I roku życia, zastępując je mlekiem w proszku, w miarę możliwości produkcji zagranicznej,

- w przypadku używania mleka w proszku produkcji krajowej, należy wstrzymać się od korzystania z mleka wyprodukowanego w okresie od I maja do I lipca, gdyż bywa ono skażone jeszcze silniej niż zwykłe mleko,

- dzieciom i młodzieży w wieku I-15 lat polecamy ograniczanie ilości spożywanego mleka do szklanki dziennie i przetworów mlecznych do 100 gkg dziennie.

POYIŻSZE ZALECENIA ZACIOWAJĄ SWOJA MOC JESZCZE PRZEZ 2-3 TYGODNIE, NIE MA ŻADNYCH PRZECIWSZTAZAN DOTYCZĄCYCH INNYCH RODZAJÓW POŻYWIENIA.

W szczególności można już podawać bez ograniczeń /również dzieciom/ sałatę, szpinak, szcaw, rzodkiewki i inne nowalijki.

Nie są w zauważalnej mierze skażone: woda, mięso, jaja ani inne rodzaje pożywienia. Pomiary wykazały, że skażone były jedynie te części roślin, które wystając ponad ziemię zostały posypane opadem radioaktywnym w pierwszych dniach maja. Jeżeli są one jeszcze teraz spożywane /jak np. natka pietruszki/, to w ilościach nieszkodliwych dla zdrowia.

Ponieważ pochłanianie radioaktywności przez korzenie okazało się nieznaczne, spodziewamy się, że również owoce, truskawki, runo leśne itd. okażą się nieskażone \*.

Gdyby nasze przewidywania okazały się błędne - Komisja wyda natychmiast stosowny komunikat.

2. Przebywanie dzieci na powietrzu

Obserwowane obecnie kilkukrotne podwyższenie /w stosunku do stanu z kwietnia br./ poziomu promieniowania ziemi i trawy, jest już zupełnie nieszkodliwe. Będzie już ono mało bardzo powoli, utrzymując się na zbliżonym poziomie zapewne przez wiele miesięcy.

Dlatego dalsze OGRANICZANIE PRZEBYWANIA DZIECI NA TRAWIE, W PIASKOWNICACH itd. NIE JEST POTRZEBNE.

3. Wakacje

Skażenie trawy, gruntu, żywności itd. w innych miejscowościach Polski nie przekracza obecnie poziomu warszawskiego bardziej niż trzykrotnie.

Biorąc pod uwagę niski już obecnie poziom skażenia uważamy, że OD LIPCA MOŻNA BĘDZIE BEZ OBAW WYSYLAĆ DZIECI NA WAKACJE W DOWOLNE OKOLICE NASZEGO KRAJU.

4. Sprawa przerywania ciąży w obawie przed skutkami promieniowania

Wszystkie dane wskazują, że możliwość zaistnienia wad płodu spowodowanych promieniowaniem wywołanym katastrofą w Czernobylu, jest w Polsce kilkaset razy mniejsza od prawdopodobieństwa wystąpienia u dziecka wad wrodzonych lub rozwojowych z powodów naturalnych.

Ponadto - prawdopodobieństwo ujemnych skutków przejęcia przez ciężarne kobiety plynu Lugola, jest minimalne.

Dlatego z całą odpowiedzialnością stwierdzamy, że OBAWY KOBIET O CIĄŻY, CHCÓŻ ZROZUMIAŁE SĄ NA SZCZĘŚCIE, ZUPEŁNIE NIEUZASADNIONE.

Warszawa, 28.05.1986r, Społeczna Komisja Zdrowia

\* Przepuszczenie to okazało się słuszne - nie ma żadnych ograniczeń, jeżeli chodzi o bezpieczną konsumpcję jagód, czarnych porzeczek, poziomek i grzybów.

Jacek Fedorowicz

PRZYCZYNY PIJAŃSTWA W POLSCE

Nie mam ambicji wyczerpania tematu. Chciałbym się skupić głównie na tych przyczynach, o których na ogół się nie mówi lub mówi się rzadko, w przeciwieństwie do tych, które omawiane były i są nadal, szczegółowo, dobitnie, chociażby się rzec - machalnie.

Zawsze, kiedy brakuje do ręki jakiejś publikacji poświęconej omawianiu przyczyn pijanstwa w Polsce, publikację wydaną oficjalnie, odnosim do nieodparto wrażenie, że w potoku słów, w



lawinie wymienianych przyczyn, a tymi ulubionymi na czele, jak rozpijanie chłopstwa przez szlachtę, potem szlachty przez zaborców i wszystkich razem przez okupanta, ginie celowo ukrywana jakaś przyczyna zasadnicza. Ważniejsza niż inne. Taka, której wyjawić głośno nie można.

Oczywiście, wiedziałem, że ta przemilczana przyczyna jest narzucony nam system. To nie jest jeszcze żadne odkrycie! Nawet dziecko zauważy, że, no, coś w tym musi być, że wykaz krajów dotkniętych plagą alkoholizmu pokrywa się, na ogół, z wykazem krajów tzw. socjalistycznych, z "krajem rozwiniętego alkoholizmu" na czele.

Nigdzie na świecie, nigdzie, tylko w tych krajach, alkoholizm potrafił zagrozić biologicznej egzystencji całych nacji i funkcjonowaniu państwa.

Togo nie da się już wytłumaczyć żadną spuścizną szlachecką, latami okupacji, warunkami klimatycznymi, tradycją kulturową, budową wroby czy knowaniami administracji prezydenta Reagana.

Ale nie wystarczy powiedzieć: winien jest system. To jest łatwizna wszystko zwać na system.

Trzeba się zastanowić nad mechanizmami, które system uruchamia powodując pijaństwo; jednocześnie przestrzegam przed nadużywaniem tego twierdzenia, że wszystkiemu winien jest system. Przestrzegam, chociaż sam wierzę o tym, że bardzo często nadużywam.

Kiedy mnie spytała - różne pytania różne mi zadawała z najprzeróżniejszych dziedzin - kiedy mnie spytała, "kto spowodował wypadek drogowy na Marszałkowskiej?", "dlaczego Zosia ma grype?", "kto zwinął suszę?" - to ja bez namysłu odpowiadałem - socjalizm.

Być może troszeczkę przesadzam, uprawiedliwiając się potem, że taka odpowiedź jest, statystycznie rzecz biorąc, najbezpieczniejsza. Ona tak często jest trafna, że jeżeli posługiwać się nią zawsze, możliwość pomyłki sprowadza się, no, praktycznie do zera.

Zresztą rozpatrując rzecz poważnie, bo to jednak byłam tym, co powiedziałem, jakiś cion żartu - jeżeli nawet ten system nie zawsze jest przyczyną nieszczęść, to zawsze potęguje ich przykre następstwa.

Żeby użyć już wymienionych przykładów to: samochód po wypadku drogowym zgnije bez części zamiennych, Zosia będzie zapuszczona całymi tygodniami z powodu braku lekarstw, a susza - normalne gdzie indziej zjawisko atmosferyczne - w socjalizmie może przywołać widmo głodu.

Przypomnę znane powiedzonko, że w innych krajach śnieg "pada", a u nas śnieg "kłęska".

Ale, powtarzam, trzeba wiedzieć, dlaczego tak się dzieje? Nie wolno się wykręcać żartami. Do znudzenia powtarzam wciąż, że akurat teraz, w czasach, w których żyjemy, po rewolucji świadomościowej w początkach lat osiemdziesiątych, jakby trochę szkoda czasu na pustą wyśmiewanie się. Trzeba natomiast kontynuować tak dobrze zaczęta samoedukację.

Trzeba myśleć; to jest, moim zdaniem, nasz podstawowy obowiązek na dziś.

I jednym z tematów - kto wie, czy nie głównym - winno być dokładnie prześwietlenie panującego systemu. To nam się z całą pewnością przyda w przyszłości, jeżeli będziemy wszystko wiedzieli o nim; być może uda nam się uniknąć powielenia jego błędów.

Bo może nie będę w stanie państwa przekonać co do praktyczności takiego podejścia, ale ja wierzę głęboko, że kiedyś - nie wiem kiedy - ale wierzę, że za mojego życia - nadejdzie czas, że Polacy będą mieli wreszcie okazję do zadecydowania o kształcie swojego odcykanego państwa.

Wybiegając aż tak daleko w przyszłość, nawet pozwolę sobie wysnuć moje hipotezy odnośnie przyszłego systemu politycznego i ekonomicznego.

Otóż uważam, że jeżeli chodzi o system polityczny, to naród jednogłośnie opowie się za demokracją parlamentarną. Nie trzeba będzie przetrząsnąć budynku sejmowego na pałac królewski, zaludni się tylko to miejsce prawdziwymi posłami.

Natomiast w dziedzinie gospodarczej obawiam się, że rzecz będzie trochę bardziej skomplikowana. Ogólnie rzecz biorąc, owszem, wszyscy tęsknią za gospodarką rządzącą się prawami ekonomicznymi. Gospodarką pozbawioną różnych doktrynalnych ograniczeń, jakichś tam planów centralnych, wskaźników itd. itd. Ale jak daleko woda wypłynęła na szerokie wody gospodarki wolnorynkowej, nazwijmy ją - naturalnej, nie wiadomo.

Chociaż tu - przyznam się - jestem niekiedy znanym optymistą i uważam, że społeczeństwo wykazuje tyle odwagi, ile trzeba.

Kto wie, czy nie będę pisywał wtedy felietonów ostro potępiających manię bogacenia się i nawołujących redaktorów do przyhamowania tempa rozwoju kraju, bo od błyskawicznie rosnącego dobrobytu może nam się w głowach poprzewracać.

To w przyszłości. Na razie starajmy się poznać dogłębnie system dziś niemilosciwie nam panujący. Kto wie, może to już ostatnia okazja.

Wracam więc do tematu pijaństwa.

Dlaczego w kapitalizmie nie występuje zjawisko masowego picia? Picie nie staje się plagą społeczną? Dlaczego ilość alkoholików jest mniejsza od ilości alkoholików z krajów rządzonych przez "przebiegłą ideologię"?



dzonych przez "przebijającą ideologię"?

Dlatego, z grubsza, że w kapitalizmie nadmierne picie przeskądzałoby ludziom w zarabianiu pieniędzy, to raz; a po drugie - pieniądze wydany na wódkę byłby pieniądzem straconym.

Co to jest pieniądz stracony ?

W pojęciu "homo capitalisticus" pieniądz stracony jest to pieniądz wydany na własne przyjemności, na konsumpcję bieżącą, na wszystko to, co nie służy pomnażaniu pieniędzy.

Oczywiście, że ten, jak go nazwałem, "homo capitalisticus" tak wydaje na przyjemności, też traci pieniądze, kupuje olbrzymie ilości przedmiotów nie służących pomnażaniu pieniędzy. Ale ... robi to dopiero wtedy, kiedy część zarobionych pieniędzy według jakiegoś prywatnego planu odłożył albo zainwestował.

Innymi słowy, dla człowieka żyjącego w kapitalizmie, przyszłość jest ważniejsza od teraźniejszości. To jest klucz do zagadki.

Ludzie tam pracują dla przyszłości, na zapas. Po to, by w najbliższej przyszłości mieć więcej niż dziś, to znaczy znaleźć się wyżej w hierarchii społecznej wyznaczonej stopniem posiadania, a w dalszej przyszłości mieć zapewnioną dostatnią, spokojną starość, żyć z procentów od kapitału zgromadzonego w ciągu życia. Im większy ten kapitał - tym spokojniejsza starość.

Oto najprostszy model myślenia przeciętnego człowieka w kapitalizmie.

Tam człowiek, na ogół, pracuje z nadzieją, że jak tylko uzbiera jakiś kapitał, to założy jakiś biznes i będzie mógł trochę odsapnąć, bo za niego będą dalej pracowały dzieł zarabiane pieniądze.

To jest, oczywiście, coś w rodzaju pułapki psychologicznej, trzeba dodać dla równowagi to jest ta przysłowiowa marchewka na patyku przed nosem ośła, na którego grzbiecie siedzi człowiek trzymający w ręku ten patyk. Ponieważ "homo capitalisticus" założywszy mały biznes albo odłożywszy w banku mały kapitał, dalej pracuje, aby mieć większy.

Budując sobie lepszą przyszłość, na ogół nie potrafi powiedzieć sobie, że ona jest już wystarczająco dobra, i odsapnąć. A jeżeli nawet uzna, że sam się już dochrapał, to dalej haruje jak wół, aby zapewnić jedwabne życie dzieciom i wnukom.

Przepraszam, czy ja nie obrzydzałam państwu kapitalizmu przypadkiem? Nie, bo nie chciałbym, podobnie jak nie chciałbym wmawiać w państwa, że kapitalizm jest rajem. Nie. Ja tylko odpowiadam na jedno, jedyne pytanie: dlaczego w kapitalizmie ludzie nie piją?

Dlaczego nie będą pili nawet tu, - w Polsce, w momencie, kiedy warunki ułożą się tak, że będziemy mogli wreszcie przystąpić do odbudowy kraju.

Wyłączam tutaj ludzi już dotkniętych plagą ... dotkniętych chorobą alkoholizmu. Nimi rządzą inne już zupełnie prawidłowości.

Ale jestem przekonany, że gdy tylko zmieni się system ekonomiczny, przeciętny jeszcze zdrowy Polak, Polak, który dziś bez wahania kupuje pół litra, będzie już się zastanawiał, będzie kombinował, będzie sobie myślał: kupić pół litra? wydać te dwadzieścia pięć złotych? czyli pięć dolarów?

Czy może lepiej to pieniądze zainwestować, żeby po jakimś czasie móc sobie kupić całego litra?

Tu proszę zwrócić uwagę, w jaki prosty sposób, tu, w tym systemie, nie skłonności zostają wprzęgnięte w dobrą robotę. Bo ten przykładowy Polak, kiedy już będzie miał na tego litra, to też litra nie kupi, tylko zainwestuje, żeby mieć w przyszłości na dwa litry itd. Marchewka na patyku.

Możliwości inwestowania, wierzę, że będą ogromne.

Już sobie wyobrażam, jak ten nasz przykładowy kombinuje dalej: jeżeli nie będę pił - myśli - powiedzmy pół roku, to kupię sobie akcje tego przedsiębiorstwa, co to Huta Katowice przerabia na skansen. Może być niezły interes - myśli on sobie dalej - turwáci z całego świata już wykupują bilety, żeby oglądać muzeum nonsensów socjalizmu.

Jak zarobię, to może założę własny biznes. O, mam taki pomysł: dopóki nie ma wystarczającej ilości maszyn rolniczych, to ja otworzę firmę ręcznego młocenia zboża, bo jest tania siła robocza, której na razie nikt nie chce - chłopaczki z rozwiązanego ZOMO.

No, a jeżeli ktoś nie będzie chciał inwestować, bo nie lubi ryzyka albo nie lubi być właścicielem samodzielnego biznesu, nie lubi być kapitalistą?

Wolno mu. To taki będzie mógł odkładać pieniądze w banku, które w systemie niesocjalistycznym, też są formą inwestycji w przyszłość, ponieważ bank stale powiększa ten kapitał powoli - ale równomiernie.

I znowu będzie to ogromną konkurencją dla wódki i twierdzą - wódka tutaj przegra.

Będziemy trzeźwi. Będzie to trzeźwość niejako wymuszona, ale będzie. Bo taka jest natura ludzka, że człowiek zawsze musi mieć nadzieję na coś lepszego w przyszłości.

Dla nadziei może sobie odmówić wszystkiego, ale tylko dla nadziei. Brak nadziei, brak



perspektyw jest oczywiście pierwszą rzucającą się w oczy cechą socjalizmu. Ludzie piją, ponieważ wydawanie pieniędzy na dziś osiągalne cele nie ma konkurencji w postaci możliwości wydawania pieniędzy, nadziei na pomazanie pieniędzy czyli na miraż lepszej przyszłości. Nie można kupić nadziei.

Z podstawowych zasad socjalizmu - uczono nas tego długo i dokładnie, choć bezskutecznie, na szczęście, w szkołach - z doktryny socjalizmu wynika, że na człowieka nie może pracować kapitał. Dostatniej starości człowiek zapewnić sobie też nie może. Ja oczywiście mówię o ogólnych zasadach, wyliczając szczególne przypadki zasłużonych sekretarzy.

Człowiek może charować jak wół, wśdy będzie zarabiał miesięcznie, no, może dwa, może trzy razy więcej niż jego sąsiad, który jest leniem, nierobem i pijakiem.

I te dwa, ewentualnie trzy, razy więcej, chociaż w praktyce najczęściej to jest tyle samo albo i mniej, więc to ewentualne więcej, postawi tego nawiedzzonego pracusia tylko trochę wyżej w hierarchii zamożności. Ten pracowity będzie miał, powiedzmy, fiata - pijak fiata mieć nie będzie.

Ten od fiata może w przyszłości kupić sobie dom, a to jest jakiś górny pułap możliwości, ale nigdy nie kupi sobie nadziei na pełne leniuchowanie w przyszłości. A człowiek jest z natury leniwy, taką ma przywarę - nie na to nie poradzimy. Jest to zresztą przywara niesłychanie twórcza. Tu znowu dygresja.

Ludzkie lenistwo na przestrzeni dziejów procentuje przeciw postępom technicznymi.

Człowiek od zarania wymyślał, z lenistwa wymyślał, różne urządzenia, które go wyręczały w polowaniu, w pracy, w przenoszeniu z miejsca na miejsce.

Oczywiście upraszczam, bo nie tylko z lenistwa, ale lenistwo połączone z właściwą człowiekowi umiejętnością wybiegania myślą w przyszłość, napewno było czynnikiem dopingującym.

Pracując, zawsze człowiek pracował z nadzieją, że dzięki dzisiejszej pracy, jutro będzie pracował znacznie mniej, łatwiej lub wcale. Dzięki tej nadziei przekonywał wrodzone lenistwo i odmawiał sobie doraźnych przyjemności.

W systemie gospodarczym, w którym ta nadzieja jest realna, jak gdyby zagwarantowana instytucjonalnie - ludzie nie piją. Piją natomiast w systemie, który tej nadziei nie tylko nie gwarantuje, ale nawet, z przyczyn doktrynalnych, zwalcza.

Nie ma tutaj znaczenia aktualny stopień zamożności społeczeństwa.

Ludzie nie będą pili masowo nawet w bardzo biednym kraju kapitalistycznym, będą natomiast w bardzo bogatym socjalistycznym. Gdyby oczywiście istnienie takich dwóch krajów było praktycznie możliwe.

Mówi się często, jest to chyba dość rozpowszechniony pogląd, że ludzie przestaliby pić gdyby w sklepach było bardzo dużo atrakcyjnych towarów.

Moim zdaniem to nieprawda i praktyka zadaje kłam temu twierdzeniu. Otóż, proszę zwrócić uwagę: w różnych okresach naszej powojennej historii różno przedmioty kusily na półkach naszych sklepów - a ludzie pili.

Nawet dzisiaj, w stadium kryzysu, można, wbrew utartym poglądom, znaleźć w sklepach różne atrakcyjne towary i w przyszłości też będzie można. Ono nigdy nie będą wystarczająco atrakcyjne, one nigdy nie będą atrakcyjno tak, jak perspektywa zapewnienia sobie źródła dochodów pozwalających na kupowanie w przyszłości towarów jeszcze atrakcyjniejszych.

W kapitalizmie nigdy nie zabrakło w sklepach towarów nie tylko dlatego, że kapitalizm jest w ogóle systemem bez porównania sprawniejszym, ale również dlatego, że tam tylko szalonicie poświęcały całą wypłatę na konsumpcję. Jakaś część pieniędzy tam zawsze będzie zaoszczędzona albo poświęcona na inwestycje, czyli na perspektywę większej konsumpcji w przyszłości.

W socjalizmie, jak wiemy, procent bankowy nie dogania nawet procentu inflacji, tak więc, nie wydane na towar, a w każdym razie na bieżące, pieniądze nie tylko nie przynoszą większych pieniędzy, nie tylko nie są inwestycją, ale po prostu tracą wartość.

Jeżeli ktoś ma nadwyżkę pieniędzy, musi ją natychmiast wydać, musi natychmiast kupić jakiś towar; to jest jedna alternatywa, a druga - wydać na jakieś przyjemności.

I tu, niestety, ta najłatwiejszą, najłatwiej dostępną przyjemnością jest wódka.

Oszczędzanie na starość jest czystym nonsensem. Pieniądze, na które dzisiaj można kupić, powiedzmy, rower, na starość nie starość właścicielowi nawet na kupno cukierka.

I dlatego w socjalizmie nigdy nie ma wystarczającej ilości towaru. Nigdy nie było i nigdy, bardzo przepraszam, muszę państwa zmartwić, nie będzie.

Nawet gdyby stał się jakiś cud i gospodarka zaczęła na gale funkcjonować bez zarzutu, gdyby gdzieś nagle wprowadzono ten idealny socjalizm. Ten całkowicie odporny na wszelkie błędy i wypaczenia.

Jeszcze raz chciałbym dobitnie zaznaczyć, że celom tego felietonu nie jest zakamuflovana reklama kapitalizmu, z góry finansowana przez "naszego prezydenta Roagana", chociaż nie będę ukrywał, że przy wszystkich znanych mi i nieznanymi niedoskonałościach kapitalizmu, niedoskonałościach to w ogóle za mało powiedziana, przy wszystkich olbrzymich wa-



dach kapitalizmu, ja kapitalizm darzę jednak większą sympatią niż socjalizm.

Można się z tym nie zgodzić - takie jest moje prywatne zdanie. Po prostu uważam, że wady socjalizmu są znacząco większe, a zalety znacznie mniejsze.

Jestem ponadto przekonany, że kapitalizm w jakiejś dojrzałej, zhumanizowanej formie jest naszą - wazną, ważną - nieuchronną przyszłością. On jest koniecznością historyczną, że użyję ulubionego powiedzonka marksistów, ponieważ nie ma, nie wymyślono jeszcze innego systemu, który by w przyszłości pozwolił nam na wydziwianie się z ekonomicznego dna, nawet gdyby system polityczny się nie zmienił.

Dobrze jest więc troszeczkę, może już na zapas, odczarować to słowo.

Ja zresztą scalenie często w tym felietonie używam słowa "kapitalizm", żeby państwa przyzwyczaić. Bo przecież od dziecka wpajano w nas, na zasadzie odruchu Pawłowa, że kapitalizm to coś straszego; prawda, że to jest słowo ... już samym swoim dźwiękiem ono miało budzić grozę. Kapitalizm ... aaaaa ... nędza, wyzysk, głód, bezrobocie, zbrojenia, ekspansja imperialistyczna ...

Jeszcze długo można by wyliczać wszystkie nieszczęścia, jakie miały być spowodowane przez kapitalizm, i tak się dziwnie złożyło, że one wszystkie stały się własnością socjalizmu. Wszystkie, i to zabrane, bez wyjątku, ze zbrojeniami i ekspansją imperialistyczną na czele. A także, to taki ulubiony argument, a także bezrobocie, bo przecież likwidacja bezrobocia w socjalizmie jest absolutnie pozorną, sztuczną.

Myszę, że nikogo nie trzeba przekonywać, że tzw. pensje miesięczne w ogromnej ilości przypadków, to są po prostu utajone zasiłki dla bezrobotnych. No tak. Tu na marginesie dodam, że na Zachodzie jawny zasiłek dla bezrobotnego z reguły przewyższa swą siłą nabywczą pensję socjalistycznego ministra.

I to warto, żeby sobie czasem uświadomili nasi ministrowie i może odbyli małą wycieczkę do Chin. Dzieją się tam w tej chwili bardzo ciekawe rzeczy w sferze gospodarczej. Jak na razie wygląda na to, że Chińczycy chcą sobie zafundować ożywczą kapitalizację socjalizmu. Życzę wiele szczęścia na nowej drodze życia.

Staraniem się udowodnić, że kapitalizm jest systemem niedoskonałym, ale wymuszającym trzeźwość. Socjalizm zaś, no, jeszcze gorzej i w dodatku zapraszającym do kieliszka.

Mówiłem o socjalizmie w ogóle. Teraz chciałbym żebyśmy, w drugim niejako rozdziale, poświęcili trochę uwagi szczególnej sytuacji w PRL w połowie lat osiemdziesiątych.

System tu panujący, podobnie jak socjalizm utopijny, również jest całkowicie sprzeczny z naturalnymi dążeniami człowieka i do picia kłaniają człowieka to same bodźce plus kilka dodatkowych.

Zanim je wyliczę, pozwolę sobie odpowiedzieć na ewentualny zarzut, bo ktoś może powiedzieć, że przecież u nas też można inwestować, mamy ciągle jeszcze indywidualne rolnictwo, rzemiosło, handel prywatny, przedsiębiorstwa polonijne itd, itd.

Oczywiście, tak, jest pewien nikły, procent ludzi odważnych, desperatów, może nawet bohaterów, którzy inwestują. Ogół natomiast, nawet gdyby mu dano szeroko możliwości, nigdy nie puści się na zdradliwą wodę inicjatywy prywatnej, ponieważ wie dobrze, nauczony wieloletnim doświadczeniem, że w PRL nie ma nic bardziej ryzykownego niż inwestycja.

Celem ostatecznym i przecież nie ukrywanym przez państwo jest wyłącznie państwowy handel, wyłącznie państwowe przedsiębiorstwa, rolnictwo - tak zwane wspolczesne - czytaj państwowe - i szkoda czasu na wyliczanie przykładów tragicznych losów ludzi, którzy naiwnie uwierzyli w różno zielono światła.

Nasi prywatniarzo też zresztą biją, ponieważ antyalkoholowe działanie mirażu inwestowania w jeszcze lepszą przyszłość działa skutecznie wtedy, gdy inwestycje są nie tylko bezpiczne, ale i nie za bardzo ograniczone.

U nas oczywiście nikt rozsądny nie będzie swojego dobrze prosperującego przedsiębiorstwa rozbudowywał. Wiadomo, że jeżeli jakieś niepaństwowy biznes idzie za dobrze, to prędzej czy później będzie za to surowo ukarany, a następnie upaństwowiony i doprowadzony do ruiny.

I teraz te pozostałe bodźce alkoholowe, "specialite da la maison" systemu u nas tu, dziś, obowiązującego.

Bodźce alkoholowe, specjalność systemu u nas panującego, to po pierwsze - przekonanie o zupełnym braku perspektyw w skali ogólnokrajowej i po drugie - poczucie całkowitej nie trwałości wszystkiego, wynikające ze świadomości panującego bezrobocia.

Po trzynastym grudnia władza postanowiła, że oprze się na zastraszaniu społeczeństwa, i z żelazną, godną podziwu, konsekwencją ten plan realizuje.

Służą temu demonstracje siły milicyjnej, bezczelność propagandy, wybiórczość i przypadkowość represji, wyroki sądowe otwarcie drwiące z elementarnego poczucia sprawiedliwości a ostatnio kuriozalno nowości w prawie karnym.

Każdy obywatel ma się czuć zagrożony, każdy ma mieć stałą świadomość nietrwałości



wszystkiego co posiada, wszystkiego co posiada w sensie materialnym lub też wolności. Jednego i drugiego. Każdego można w każdej chwili skazać na dowolną karę. Wystarczy, że władze tego chce. Każdemu można zabrać wszystko co ma.

Nie robi się tego nagminnie, nie, ale ciągle się tym straszy. Skazuje się rybiórczo dla przykładu, dla zastraszenia.

Mieśnik siedzi za spotkanie z Wałęsą po to, by setki innych spotykały się tylko z własnymi telewizorami.

Wszyscy - gwałtowni - wszyscy jesteśmy przestępcami. Nie siedzimy tylko dlatego, że władza akurat nie na nas włożyła palców i nie nic jest na pewno naszo.

Drobny przykład: jedziesz swoim samochodem, ktoś ci podrzuca garść ulotek. Za następnym rogiem zabierają ci samochód jako narzędzie przestępstwa.

Prosto? Prosto. W niedalckiej przyszłości być może ktoś z tych sarych powodów zarzek kwirują mieszkanie. Można dla przykładu zamknąć jakiś kościół.

A jeżeli twórczość ustawodawcza pójdzie nieco tylko dalej w obranym ostatnio kierunku, to za drobne kradzieże może będą ucinąć ręce.

Z felietonu pani Józefy Konnelowej w "Tygodniku Powszechnym" dowiedziałem się, że minister sprawiedliwości zasiadał po dziesięć lat więzienia dla chłopczków, którzy skradli bieliznę pościelową na kwotę około trzydziestu tysięcy złotych. Wygląda na to, że jeszcze kilka przestępstw i dostaliby karę śmierci.

Naukowcy zgołnym chórem stwierdzają, a praktyka potwierdza, że to wszystko od przestępstw nie odstrasza, za to stwarza w społeczeństwie poczucie tymczasowości, poczucie destabilizacji, które jest kolejnym wyznacznikiem pijactwa.

W sumie obraz jest dość przerażający, szczególnie jeżeli uświadomimy sobie mizerny wyniki oficjalnej walki z pijactwem.

Tu się przyznem, że nigdy nieowierzę, że można skutecznie i szczerze walczyć z alkoholizmem ktoś, kto z monopolu spirytusowego czerpie olbrzymie zyski. No to jest troszeczkę tak jakby, powiedzmy, piekarz upiekł bułki i zaraz potem wybiegł przed piekarnię i na klęczkach błagał ludzi, żeby nie kupowali. Takiego człowieka podjąłbym jednak o pewną hipokryzję.

Wyruszając się to wymiętolono karteczki obligatoryjnie umieszczane w każdym miejscu sprzedającym alkohol, stanowiące symbol bezsensu i nieskuteczności oficjalnej walki z alkoholizmem. Oto wśród piórek uginających się pod ciężarem najprzeróżniejszych gatunków wódki, bystry obserwator może dostrzec karteczkę zawiadamiającą, że "spożywanie alkoholu jest szkodliwe dla zdrowia", które to zawiadomienie państwo, a więc monopolista w produkcji wódki, kazało wywieść we wszystkich sklepach monopolowych.

Kazało, a następnie wstąpiło z ulgą - noo ... kawał roboty odwaliliśmy, zabezpieczyliśmy szeroki front bezwzględnej walki z alkoholizmem.

Najmniejszej te karteczki wyglądają w "Powoksach", gdzie baterie butelek najwymyślniejszego kształtu kuszą najpiękniejszymi etykietkami kontrastującymi z obowiązkowym ogłoszeniem antyalkoholowym, niezauważanym na chybił, aby żyć.

Alę nie chcę, oczywiście, przez to powiedzieć, że byłoby w porządku, gdyby było odwrotnie. Odwrotnie - to znaczy gdyby zawiadomienia o szkodliwości alkoholu wykute były w marmurze, zaś wódka sprzedawana w brudnych szklankach po dziesięć bez etykietek.

Nie, nie, nie! Byłoby dokładnie tak samo, ponieważ nie na tym, niestety, polega prawdziwa walka z alkoholizmem.

Nie by nie dało również zamknięcie przedsiębiorstwa "Polmos" - owoi podstawy budżetu państwa.

Prawdziwa walka z alkoholizmem, gdyby ktoś chciał z nim walczyć, to stworzenie ludziom poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji. Ładu i porządku. Poszanowania prawa, w tym także prawa własności. Przeprowadzenie reformy gospodarczej, stwarzającej jakiś cień perspektywy na przyszłość, jakiś ślad nadziei, że będzie lepiej.

Proszę zwrócić uwagę, że wymieniam tu punkty absolutnie możliwe do spełnienia nawet bez zmiany władzy i systemu.

Jestem teraz w takim dołku, że uważam, że każda, najdrobniejsza nawet poprawa stosunków społecznych, natychmiast zaprowocowałaby spadek spożycia alkoholu.

To jest troszkę tak, jak w tym angielskim, znanym przykładzie z kozą, dokwaterowaną do wielodzietnej rodziny mieszkającej w jednym pokoju. Po wyprowadzeniu kozy pokój wydawał się przestronnym pałacem.

Po beznaście naszej obecnej sytuacji, każde reformy gospodarcze - pod warunkiem, że prawdziwa, nie udawana, jak w tej chwili - będzie się nam wydawała rewolucją. Nawet skromna reforma. Nic to ta koza się nie wyprowadzi, ale przynajmniej niech często wychodzi na długie spacery.

Ja myślę, myślę, że musimy mieć chociaż trochę nadziei, a wtedy kurczowo się jej złapiemy.



Dowodem niech tu będą lata 80-81, czyli okres "Solidarności" nadziornej. To były przecież jedyny lata, kiedy ludzie pili mniej, stwierdzają to zgodnie wszystkie statystyki. Pili mniej, a przecież niczego wtedy jeszcze nie zreformowano, ani gospodarki ani systemu politycznego. Była tylko nadzieja na reformę i ta nadzieja wystarczyła.

Zachodzi pytanie, co będzie, jeżeli koza się nie wyprowadzi albo jeszcze w dodatku sprowadzi kobłąnkę. No cóż, podstawowo bodźce alkoholowe spotęgują się i jeszcze trudniej będzie znaleźć środki zaradcze. Ale tutaj pozwolę sobie dać wyraz znowu mojemu optymizmowi /ton optywizmu to jakaś choroba chyba/.

Zachęcałem coś, co można by nazwać sprzyjającym klimatem dla trzeźwości.

Oczywiście klimat przychylności dla pijaństwa nadal istnieje, ale w ostatnich latach człowiek niepijący spotyka się z nieporównanie większą tolerancją niż dawniej. To, jak państwo się domyśla, zachęcałem na własnym przykładzie i tego jestem pewien.

Mniej powinien jestem tłumaczyć przyczyny tej stale zwiększającej się tolerancji, ale zaryzykuje stwierdzenie, że dzięki tu rozbudzony w ostatnich latach instynkt społeczny.

Po prostu ludzie poczuli, że walka z pijaństwem jest istotnym elementem walki o byt narodowy.

Trochę tego oklepanego dosyć kaska jakby dotarła w ostatnich latach do ogólnej świadomości. Tym tłumacząc tę zwiększoną tolerancję i, niewyobrażalnie dawniej, wyłomy w obyczajowości pijackiej, silnie przecież u nas ciągle zakorzenione.

Tutaj dwa przykłady.

Drobno zdarzenie, w które bym nie uwierzył gdyby nie to, że opowiadał mi znajomy ksiądz proboszcz.

Otóż, w niedzielnym mszale, parafii tego znajomego księdza proboszcza, w którąś niedzielę miały się odbyć chrzciny w czterestu rodzinach. W trakcie kazania proboszcz wpadł na pomysł i bez specjalnej namyśli na sukces zaproponował chrzty bezalkoholowe. Która rodzina się zdecydowała, niech po naszy przyjdzie do zakrystii i zadeklaruje.

I zgłosiło się aż dziewięć rodzin na ochrztenie.

W dziewięciu rodzinach tradycyjna służba do wypicia wódki została odrzucona.

Gospodarze nie bali się potępienia przez gości, którzy już byli przecież zaproszeni i nie uprzedzeni. Ze strony gości i rodziny, środowiska.

Drugi przykład, z dużego miasta tym razem, ze środowiska naukowego.

Byłem na imioninach, tłum ludzi, głównie środowisko naukowe, rektorzy prawdziwi, wybrani jeszcze oczywiście, docenci, profesorowie. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ mimo to szedłem dość niechętnie, ponieważ nie lubię takich spędów towarzyskich. Ale nagle po dwóch godzinach zorientowałem się, że wspinało się tam coś, cudowna atmosfera, ciekawo dyskusje; i nagle, wtedy właśnie - po dwóch godzinach - zauważyłem, że tam na tych imioninach w ogóle nie ma alkoholu, żadnego.

Ponieważ to, że ja czegoś nie widzę, to jeszcze nie dowód, że tego czegoś nie ma, żeby się upewnić spytałem jednego z gości, czy rzeczywiście? I tak, on potwierdził. A dlaczego - spytałem? A bo widzi pan - ten gość wyjaśnił - gospodarze postanowili, że w ich domu nie będzie alkoholu aż do chwili odzyskania niepodległości.

Być może ci sympatyczni ludzie będą abstynentami do końca życia. Być może nie - to nie należy do tematu. Ale twierdzą jednak, że obydwie przykładowe sytuacje byłyby nie do pomyślenia dziesięć lat temu, dziesięć - co ja mówię, sześć lat temu też byłyby jeszcze nie do pomyślenia.

To oczywiście jest dopiero początek drogi. Obyczaj pijacki wciąż się trzyma dzielnie; i teraz z kolei w trzecim i ostatnim rozdziale dwa słowa o nim.

O obyczaju pijackim. Tu, przepraszam, i to obyczaju polskim, nie polskim, ale polskim. Tu przepraszam, że przez chwilę nie będę mówił nic złego o ustroju.

Przez wiele lat obserwowałem pijących szermu nie pijąc i niektóre, stale powtarzające się momenty w ich zachowaniu, wydawały mi się wyjątkowo nielogiczne i trudno do wytłumaczenia.

No bo jak na przykład wytłumaczyć to, że na typowej klasycznej pijackiej libacji wszyscy piją z jednej strony po to, żeby zapomnieć o beznadziejnym świecie, znarkotyzować się odpłynąć jak najdalej od codzienności, czyli po prostu się upić, a jednocześnie robią wszystko, żeby zachować trzeźwość.

Wydawałoby się, że jeżeli podstawową funkcją jest tu ucieczka od rzeczywistości, no to każdy uczestnik libacji winien czynić wszystko, aby upić się możliwie jak najszybciej i jak najdokładniej.

A tymczasem widzimy, że nie podobnego. Każdy stara się trzymać dzielnie w krzesło, jeść jak najwięcej, bo wtedy podobno wódka mniej działa. Są tacy, którzy nawet specjalnie przed libacją, według własnej recepty, jedzą jakieś takie swoje specjały, które mają zaobiecować wycieczki, jakieś tam sardynki, owoce, pół kostki masła czy coś takiego.



Postronny obserwator puka się w głowę - o co tu właściwie chodzi ?

O to, żeby się upić, czy o to, żeby się nie upić ? No bo jeżeli o to, żeby się nie upić, no to, może najprościej byłoby jednak nie pić.

I nagle olśniło mnie, miałem przebłysk genialności i znalazłem odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

Otóż w Polsce zbiorowe picie jest bardzo często - zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że prawie zawsze - wielkim turniejem, wielkim wyścigiem. To są po prostu zawody sportowe, w których zwycięzca otrzymuje wspaniałą nagrodę - wymarzony przez wszystkich tytuł "człowieka z mocną głową". Mieć mocną głowę - to jest marzenie każdego. Bałwan, debil, idiota, który może długo wypić, przestaje być bałwanem, bo przecież ma mocną głowę. Okazuje się, że jego debilizm jest pozorny. Alkohol odkrywa prawdę o jego głowie - jest wiele warta, bo mocna.

Dawniej myślałem, że aptekarska dokładność przy nalewaniu - proszę zwrócić uwagę, że musi się zgadzać zawsze co do kropelki w kieliszkach, musi być po równo, na każdego - zawsze myślałem, że ta aptekarska dokładność wynika z ceny alkoholu; rzecz droga, no to trzeba podzielić ją sprawiedliwie. Nic podobnego. Chodzi o to, żeby w zawodach sportowych szanse zawodników były równe. A tak ! Ilość wypitego alkoholu musi być równa, alkohol ponadto musi być wypijany na gwizdek sędziego, czyli na komandę, którą jest toast.

Ponadto nie można nie dopić po toastie - to są wszystkie ścisłe reguły, jak w każdych innych zawodach sportowych; ktoś, kto przyszedł później, owszem, może się włączyć do wyścigu, jeżeli wypije dokładnie wymierzonego, co...? Karniaka. Tak jest. Cały czas walka odbywa się przy zachowaniu zasad fair play i stąd właśnie obowiązujący w Polsce zwyczaj picia tak zwanych "kolejek".

W krajach cywilizowanych nie ma żadnych "kolejek" ani przed sklepami, ani na przyjęciach. Na przyjęciu stoi butelka lub bateria butelek lub gospodarz przyjęcia z butelką w ręku albo wynajęty barman i nalowa każdemu kto chce, kiedy chce, co chce i ile chce. I jeżeli ktoś nie chce - nie musi.

W Polsce, niestety, nie może odmówić. To jest tak, jak gdyby rycerz odmówił podniesienia rzuconej mu rękawicy. Ponadto tak się złożyło, niestety, że w myśl obowiązującej pijackiej obyczajowości, ilość wypitego na jednym posiłku alkoholu jest często jedynym sprawdzianem wartości człowieka. I to wartości pod każdym względem.

Ktoś może być nie tylko głupi, ale do tego jeszcze warty, chorowity, słaby, nieć zły charakter i zez. Jeżeli potrafi sam wypić pół litra i przejść kilka kroków w miarę prostą - jest okazem zdrowia, człowiekiem wartościowym, silnym, twardym facetem, osobą godną zaufania i szacunku. Więc "zdrowie pań" po raz dziesiąty, za chwilę się okaże, kto tu jest człowiekiem, a kto nie nie wartą szratą o słabej głowie.

Pytałem kiedyś znajomych lekarzy, jak to właściwie jest z tą mocną głową, od czego to zależy ? Przy czym rzecz miała dotyczyć ludzi, oczywiście, nie dotkniętych jeszcze chorobą alkoholizmu. Opinie psychiatry, anesteziologa i internisty były tutaj zgodne - nie ma żadnych prawidłowości, które mogłyby świadczyć o tym, że osobnik o tak zwanej mocnej głowie jest silniejszy niż inni, mądrzejszy, zdrowszy, czy chociażby większy lub tłustszy.

Anesteziolog powiedział, że z alkoholem jest dokładnie tak samo, jak ze wszystkimi innymi truciznami wprowadzonymi do organizmu. Na jednego działa taka dawka, na innego działają razy większa i nie wiadomo, od czego to zależy. Dodał też, że jeżeli by już, no, konieczne doszukiwać się jakichś prawidłowości statystycznych, to on, na podstawie wieloletnich obserwacji skłonny był stwierdzić, że najmocniejsze głowy mają warte, szczupłe drobne, małe kobiety. Więc zapraszam panów - prawdziwych mężczyzn, śmiało do kieliszka, aby po kilkunastu kolejkach mogło się okazać, który z panów jest w największym stopniu mały, małą kobietkę.

Ale jest środowisko, w którym ów wyścig o zaszczytny tytuł mocnej głowy ma swoje głębie uzasadnienie, i w którym owa mocna głowa czy może - nazwijmy rzecz precyzyjniej - szczególna odporność organizmu na działanie alkoholu jest istotnie cechą osobniczą słusznie poszukiwaną, niezwykle cenną. Czasem warunkującą w ogóle przynależność do pewnej grupy społecznej, a na pewno warunkującą karierę zawodową.

Nie jest to, wbrew pozorom, środowisko tak zwanych kiperów czyli ludzi trudniących się zawodowo ocenianiem smaku win, ale warstwa panująca w socjaliście. Zwana czasem "nomenklaturą". Dlaczego ? Dlatego, że wazolka władza w socjaliście nie pochodzi z wyboru. Gdyby pochodziła, no to oczywiście alkoholik nie miałby dużych szans. W socjaliście nie ma szans abstynent.

Znow zadamy sobie pytanie - dlaczego ? Czy dlatego, że warstwa panująca to lekkoduchy spędzające czas na libacjach, zabawach i orgiach ? Pozornie wydawać by się mogło, że tak - ale nie dajmy się zwieść pozorom. Istotnie, oni piją - piją to za małe powiedziane - chleją. Wielokrotnie dochożili do nas słuchy o niebawiałych wręcz pijanectwach urządzanych



w jakichś odludnych ośrodkach rekreacyjnych. Niektórzy z nas mieli możliwość osobiście policzyć butelki wynieszone nazajutrz po jakiejś uroczystości, w której uczestniczyli ludzie w jakiś tam sposób związani z władzą.

I zapewne nikt nie westchnął ze współczuciem: "Ach biedni nasi władcy". A powinniśmy wzdychać, bo oni rzeczywiście są biedni. Oni nie piją dlatego, że chcą. Oni muszą pić. Picio, i to nie żadne tam sączenie, ale ppicie do utraty świadomości jest czymś w rodzaju okresowej weryfikacji. Jest testem, któremu każdy musi się poddać.

Powidzieliśmy sobie przed chwilą, że wazolka władza w socjalizmie nie pochodzi z wyboru. No, nie pochodzi, oczywiście, wiony. Obowiązują system, nazwałbym go "mafijno-fou-dalny". Odbywa się, owszem, stały ruch, stałe tarcie grup, gruppek, klik, koterii, ugrupowań. Niesłychanie skomplikowany i właściwie nie do końca zbadany system wzajemnych ukła-dów, powiązań, sojuszów: są jakby książęta, mają swoje dwory, swoich błaznów, swoich szpiegów na innych dworach. Są wielmożo, z których każdy podporządkowany jest jakiemuś książętku.

I wśród wielu cech osobowych, jakich wymaga się od człowieka uczestniczącego w tej grze o władzę w socjalizmie, cechą, którą musi posiadać każdy, jest umijętność zachowania tajemnicy w każdych warunkach. Cechą charakterystyczną życia politycznego w demokracji jest jawność. Tutaj natomiast - tajemność.

Tylko taki, który nie wygada po pijanemu, może być członkiem warstwy panującej. Proszę zrobić kiedyś takie doświadczenie; znacząco specjalnie nie namawiam, bo to jest dość przykre, ale proszę przemoc zrozumiałą niechęć, zaprzyjaźnić się z jakimś człowiekiem władzy obojętnego szczebla, bo to dotyczy absolutnie wszystkich szczebli - tych niższych też. Zaprzyjaźnić się, spiesić tego człowieka i starać się wydobyć z niego jakąś tajemnicę z życia warstwy panującej.

Nie ma mowy. Nie naprawdę ważnego nie powie. Gdyby istniał chociaż cień możliwości, że powie - nie byłby człowiekiem władzy. Skoro jest, to znaczy, że przeszedł pomyślnie testy alkoholowe i nadal wychodzi zwycięsko z prób cyklicznych sprawdzianów, którym musi się poddać każdy przedstawiciel dyktatury proletariatu, żeby wiadomo było, czy przypadkiem nie stracił cech upoważniających go do sprawowania rządów w imieniu klasy robotniczej.

Jeżeli kiedyś, przedzierając się przez ostępy lasne, trafimy nagle na pociętołwicio ogrodzony teren i wśród wypoległowanej zieleni dostrzeżony tak okazały budynek, że z pewnością stanowiący własność państwową, a nie prywatną, i z rzęście oświetlonych okien usłyszymy pijackie ryki - nie mówmy: "oo, libacja", czy "a, la balanga", bo to nie żarna balanga, tylko obowiązkowo badania okresowe.

Konkludując, piją i rządzący i rządzoni, zmuszani do picia głównie panującymi stosunkami społeczno-ekonomicznymi, dodatkowo zachęcani też szeregiem czynników wymienionych tu dziś i nie wymienionych. Mówiłem o tym wszystkim nie po to, abyśmy teraz w poczuciu pełnej bezradności sytuacji zrezygnowali z wszelkiego przeciwdziałania. Ale po to, abyśmy sobie jasno i bez niedomówień przedstawili przyczyny takiego stanu rzeczy, przedstawili do dyskusji oczywiście.

Ja przecież nie jestem wyrocznią, przekazuję tylko moje, osobiste, moje zdanie, moją hipotezę głównych przyczyn pijaństwa. Mam nadzieję, że to może być pomocne w przyszłości w poszukiwaniu metod walki z alkoholizmem. Ale to może być już osobny temat, jak gdyby następny w kolejce.

Jedno jest pewne - walka nie jest beznadziejna. Chociaż nawet gdyby była, nie nas nie zwalnia z obowiązku jej prowadzenia. Nie jest, o czym świadczą liczne dowody, choćby wymienione już spadek pijaństwa na początku lat osiemdziesiątych czy wyraźnie pozytywno skutki misji kościelnej pod hasłem "Otrzeźwienie".

Ja wierzę w skuteczność apeli Kościoła, co może się komuś wydać sprzeczne z umieszczonym w pierwszej części felietonu wywodem o tych ekonomicznych, w każdym razie, pozostających w sferze materialnej, przyczynach pijaństwa. Owszem, operowałem obficie pojęciem tak zwanym natury ludzkiej, dowodziłem, że ona to właśnie daje się powodować prostymi bodźcami typu zjeść - wypić - poleżoć - użyć życia.

Albo gdybym na tym poprzestał - śmiało można by mnie nazwać marksistą i nawet nie mógłbym się obrazić. Spieszę więc zawiadomić, że cała moja wiara w człowieka opiera się na głębokim przekonaniu, że nie samym chlebem on żyje. Że równie zgodnie z naturą ludzką jest zjeść - wypić - i użyć, co nie zjeść - nie wypić - i nie użyć w imię wyższych racji. I że naród polski jest szczególnie na te racje wyczulany. Tak więc wierzę, że nie pokona nas alkohol, jak nie zniszczyły nas zabory, Hitler, Stalin, jak nie udało się nas zateizować, zwietyzować i ogłupić. Dziękuję.

/Tekst z nagrania drukujemy bez miodzy i zgody autora/



WEZWANIE DO TRZEŻWOSCI A PRASA

/Fragm. większej rozprawy. Drukujemy bez wiedzy i zgody autora/

Dwudziestego ósmego lipca 1985 roku sufragan warszawski, ks. bp Władysław Mizziłek, i notariusz Kurii Metropolitarnej, ks. prałat Bogusław Bijack, skierowali do wiernych archidiecezji warszawskiej apel.

Na wstępie Autorzy przypominają, że jest to kontynuacja inicjatywy podjętej przez Kościół w 1984 roku. Rażą się ze względu na szeroki oddźwięk, z jakim spotkało się pierwsze sierpniowe wezwanie do trzeźwości, przestrzegając:

"...Nie wolno poprzestawać na tym, co osiągnięto; nie ludźmy się - był to dopiero pierwszy krok postawiony na jakże trudnej drodze Narodu ku otrzeźwieniu. Nie ustały przecież żadne z zewnętrznych przyczyn, które popychają ludzi do szukania zapomnienia i pociechy wódce".

Poparcie sierpniowego apelu polegało na "...niepicciu, niepodawaniu i niekupowaniu wódki, a także na jej niewytwarzaniu oraz na bezwzględny zachowaniu trzeźwości przy picciu wina i piwa..." "Wiechaj w sierpniu ci, co pije - pić przestaną, a ci, co nie pije, niech odważnie dają świadectwo swojej postawie, uczestnicząc w flubowaniu trzeźwości."

Szczególnie gorąco Autorzy apelu zwrócili się do polskich rolników. Sierpień bowiem - to czas żniw.

"Niech nikt nie żąda wódki jako dodatku do zapłaty, niech nikt jej nie ofiarowuje, ani nie przyjmuje... Nie płacicie za zbieranie chleba z pół wódką i nie żądajcie takiej zapłaty! Za chleb borym, płasie się chlebem, na dobro iobsem, za wartość wartości..."

W rozumieniu Autorów apelu wyrzeczenie to miało stać się "dowodem czci złożonym w hołdzie Bogu Najwyższemu. Miałoby też być "wyrzeczaniem szacunku dla wszystkich Polaków i Polek, którzy właśnie w sierpniu oddawali życie lub byli gotowi je oddać, za wolność i godność Narodu". A także wyrażeniem ewangelicznego rozważania "zło dobrem zwyciężajcie".

"To Paweł-Polak - czytamy w apelu - przypomniał nam to wezwanie, a bohaterski kapitan, ksiądz Jerzy Popiełuszko, powtarzał je po wielokroć, aż po kres męczeńskiej śmierci."

W kolejnym akapicie Autorzy apelu piszą:

"Niech ten akt zostanie szczególnie zrozumiany jako nie zwracający się przeciwko żadnym osobom ani instytucjom, ale jako konieczna chrześcijańska odpowiedź na zło nałogu odbierającego godność człowieka."

... Naszym przeciwnikiem jest zło, jest rozpicie, a nie nasz bliźni, który pije, który wódkę jawnie lub pokatnie handluje, który wódkę jawnie lub pokatnie wytwarza - bliźniego bowiem Bóg nakazał miłować jak siebie samego."

W apelu przypomniano również homilię kardynała Józefa Glempa, wygłoszoną w 1984 roku w świątyni Matki Boskiej Częstochowskiej, na Jasnej Górze, w której między innymi powiedział: "O godności ludzkiej mówi się dużo, a ciągle za mało mówimy o tym, jak alkoholizm po prostu poniewiera ludzką godność."

... Wiech przy parafiach zostaną utworzone grupy rodziców i dzieci, które rozpoczęłyby zorganizowane publiczne apostolstwo trzeźwości. Na przykład przed punktami sprzedaży alkoholu niechby stało troje dzieci, naturalnie pod okiem starszych, i trzymało napis: "Dzieci proszą: "Nie bój wódki." Taka prośba dyżurujących grup dzieci i starszych mogłaby poruszyć wiele sumień."

Ubiegłoroczny apel różnił się nieco od tego, który biskupi polscy ogłosili w 1984 roku. Postawiona została jego formuła.

W swym pierwszym wezwaniu Kościół apelował o powstrzymanie się od picia, wytwarzania i kupowania wódki oraz o wstrzeźliwość w spożywaniu wina i piwa. W drugim - dodatkowo o opiekę nad osobami uzależnionymi od alkoholu.

W argumentacji inne jest rozłożenie akcentów.

W apelu z roku ubiegłego większy - niż w tym z 1984 roku - nacisk został położony na aspekt moralny i religijny. Natomiast mniejszy - na patriotyczny i narodowy.

W ostatnim apelu wywołano również, by w wrześniu nie czynić przesady, w którym powołuje się "suchy" sierpnie. Z doświadczeń 1984 roku bowiem wynikało, że w niektórych rejonach kraju tak się stało.

Podobnie do warszawskiego apelu zostały odczytane w kilku innych diecezjach.

X

X

X

Ogłoszenie przez Kościół w 1984 roku sierpnia miesiącem trzeźwości spotkało się w państwowych środkach przekazu masowego z kompletną ciszą.



W prasie centralnej wydawanej przez RSW "Prasa-Książka-Ruch" nie było ani jednego tytułu, który wezwałby czytelników do przyłączenia się do wezwania Kościoła, a nawet ... który by o nim wspomiał.

"Problemy Alkoholizmu", organ Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego /SKP/, organizacji powołanej do pracy trzeźwościowej, wspomniały o sierpniowym apelu dopiero w październiku, a więc w dwa miesiące po czasie.

Charakterystyczne jest pierwsze zdanie zamieszczonej informacji :

"Tegoroczny sierpień ogłoszony był w Kościele rzymsko-katolickim miesiącem trzeźwości" /P.A. 10/84/.

Dla przypomnienia : wezwania Kościoła było skierowane "do wszystkich Polaków".

"Problemy Alkoholizmu" nie poparty więc sierpniowego apelu, nie wezwały swoich czytelników i członków SKP do zastosowania się do niego i działania w s'kich środowiskach na rzecz podniesienia jego społecznej akceptacji. Nie wydały w tej sprawie żadnej odezwy, a tego można było się spodziewać po bądź co bądź piśmie "antyalkoholowym".

W liście do "Przeglądu Katolickiego" /nr 36/1985/ jeden z redaktorów wymienionego pisma, powołuje się na "długi cykl wydawniczy".

Trudno to przyjąć. Przygotowania do akcji sierpniowej nie były okryte tajemnicą. O tym się mówiło. Pierwsze wezwania trzeźwościowe zostały sformułowane już na jesieni 1985 roku /artyści, naukowcy, prawnicy/.

Redakcja "Problemy Alkoholizmu" zatrudnia kilku zawodowych dziennikarzy od lat związanych z tą problematyką. Jakże więc wytłumaczyć, że wiadomość o planowanym apelu do nich nie dotarła, zwłaszcza, że jak twierdzi autorka listu do "P.K.", pilnie śledzą prasę trzeźwościową Kościoła.

Żle by było, gdyby jedno z nich, w Polsce s'nie poświęconych problematyce alkoholowej, przekształciło się w kronikę wydarzeń zaprzeczonych. Jeżeli rzeczywiście mamy coś zmienić w obyczajach alkoholowych społeczeństwa polskiego, to musimy być bardzo aktywni, dynamiczni, ofensywni.

Milczenie zapanowało również w radio i w telewizji.

Apel poparła tylko prasa katolicka. Postawa środków masowego przekazu wobec sierpniowego wezwania jest tym dziwniejsza, że "suchy" sierpień to jedna z największych akcji trzeźwościowych, które podjęto w PRL.

Ogłoszenie apelu w 1985 roku spotkało się początkowo także z grobową ciszą ze strony państwowych środków masowego przekazu.

Wkrótce jednak została ona przerwana i to na wysokim szczeblu. W przemówieniu wygłoszonym na XXI plenum KC PZPR Wojciech Jaruzelski powiedział :

"Zaostrzymy walkę z pijanstwem. Za mało tu wciąż konsekwencji. Za dużo "mrużania oczu", także w niektórych ogniwach partyjnych i administracyjnych, nawet wśród części kadry kierowniczej. Tego niczym usprawiedliwić się nie da.

Z uznaniem odnotowujemy kościelną akcję "sierpień bez alkoholu".

Miejmy nadzieję, że rezultaty będą lepsze niż w ubiegłym roku. Głównie jednak rzecz w tym, by bez pijanstwa był nie tylko jeden miesiąc, lecz cały rok, by uwolnić Polskę od tej plagi".

Odblokowanie tematu przez W. Jaruzelskiego zrodziło w pewnym stopniu postawę środków masowego przekazu wobec tej inicjatywy Kościoła.

Prasa PAX-owska - a konkretnie "Słowo Powszechne" - zamieściła szereg artykułów, w których bezpośrednio nawiązywano do sierpniowego apelu, i wezwała swych czytelników do jego zaakceptowania. Korzystnym - z propagandowego punktu widzenia - posunięciem redakcji "Słowa Powszechnego" było publikowanie artykułów informacyjnych i wywiadów w wspomnianym miesiącu pod wspólnym tytułem - "Sierpień" - miesiącem trzeźwości narodu".

Podobne stanowisko zajęło i równą aktywność wykazało "Za i Przeciw".

Najwięcej miejsca sprawie sierpnia, niejako już tradycyjnie, poświęcił "Przegląd Katolicki", "Tygodnik Powszechny" i jedyne pismo katolickie w całości poświęcone kwestii alkoholizmu, narkomanii i nikotynizmu - "Trzeźwymi Bądźcie".

Prasa polskiego potentata wydawniczego RSW "Prasa-Książka-Ruch" na ogół milczała.

Specyficzny stosunek do sierpniowej akcji Kościoła zademonstrował publicysta "Kultury" Stefan Kozicki. W swym stałym felietonie pisał on : "... Jem to śniadanko w początkach sierpnia, w miesiącu proklamowanym przez Kościół jako Miesiąc Trzeźwości. Nie znoszę tego współczesnego wynalazku. Tych wszystkich tak po wojnie namorzonych, służących do biurokratycznego odfajkowania Miesiący /z dużej litery/, tych wszystkich Dekad /z dużej litery/, tych wszystkich Dni /z dużej litery/...

Uczeni w statystykach od dawna słoczą, że picie - nadmierne picie - staje się u nas najczęstszym bezpośrednim powodem popełniania większości czynów przestępczych - jak mówią prawnicy - czyli czynów polegających na ł: mania - jak mówią księża - nakazów Dekalogu".



Dość interesujący wywód - "kłamiesz prawo państwowe, jesteś grzesznikiem".

Dalej pisze; "Zabija się, kradnie, kłamie, zdradza oraz grzeszy na dziesiątki innych sposobów głównie po pijanemu. Przykazania: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam /.../ obowiązują przez cały rok. A walka z tym, co powoduje zabójstwo, złodziejstwo i kłamstwo ma trwać tylko miesiąc? Jęń miesiąc w roku? - pytają niektórzy. Przecież nikt nie proponuje proklamowania Miesiąca Bez Kradzieży i Tygodnia Bez Kłamstwa.

Kościół posiadający w kwestii wyrzeczeń wiekowe doświadczenie, ma poważne powody do zajęcia w tej kwestii - przynajmniej na początku - pozycji umiarkowanej, realistycznej.."

Jak oceniać ten felieton?

Z pewnością nie jest to poparcie apelu Kościoła, a raczej próba jego zdezaktywowania, ośmieszenia. Stwierdzenie Jaruzelskiego: "Głównie jednak rzecz w tym, by bez pijaństwa był nie tylko jeden miesiąc lecz cały rok..." przybiera w felietonie Kozickiego postać pytania: "Przecież nikt nie proponuje proklamowania Miesiąca Bez Kradzieży i Tygodnia Bez Kłamstwa". /"kultura" 14.08.85/.

Trudny do jednoznacznej interpretacji jest niesygnowany tekst pt. "Miesiąc Trzeźwości" który ukazał się w "Perspektywach" /16.08.85r/.

Na wstępie tego artykułu pisze się: "Sierpień miesiącem walki z namiętnością pijaństwa. Ta akcja Kościoła w Polsce z pewnością zasługuje na uznanie. Jeśli się powiedzie - będzie istotnym wsparciem działań instytucji państwowych, które od dłuższego czasu już energiczniej niż kiedykolwiek przedtem przeciwstawiają się plądze alkoholizmu".

W dalszej części mówi się, że walka z alkoholizmem może stanowić wspólną płaszczyznę działania dla wierzących i niewierzących, polem współpracy Kościoła i państwa. Niemniej 3/4 artykułu poświęcone jest atakom na Stefana Bratkovskiego, "Wolną Europę" i krytyce postaw religijnych społeczeństwa polskiego. Wszystko to w kontekście "suchego" sierpnia.

W 1985 roku, podobnie jak i w 1984, "Problemy Alkoholizmu" nie poparły sierpniowego wezwania Kościoła.

W dwunastu numerach tego pisma próżno szukać jakiegokolwiek odezwy do czytelników wzywającej do poparcia apelu; artykułu, w którym redakcja wyraziłaby swój stosunek do niego; czy zwykłej informacji, że taka inicjatywa będzie miała lub miała miejsce. Trudno jest uwierzyć, że tym razem na przeszkodzie stanął również "cykl produkcyjny pisma".

Nie oznacza to, że "Problemy Alkoholizmu" nie interesowały się bądź co bądź jedną z największych i bardzo specyficznych akcji "antyalkoholową" w okresie powojennym. Oczyniły to jednak w sposób dość oryginalny. Robiąc przegląd prasy zamieściły wypowiedź rzecznika prasowego rządu PRL, w której dyskredytuje on tę inicjatywę Kościoła /P.A. II/84/.

Przygotowując przegląd artykułów antyalkoholowych za lipiec-sierpień 1985 roku, nie zauważyły ani jednego, który ukazał się w "Przeglądzie Katolickim" lub innym tytule katolickim. Mimo, że w okresie od 30 czerwca do 4 sierpnia w samym "P.K." ukazało się ich sześć.

Natomiast zauważyły omówiony wyżej felieton Stefana Kozickiego z "Kultury" oraz artykuł swego redaktora naczelnego Jana Brodzkiego z "Trybuny Ludu", który redakcji bardzo przypadł do gustu, gdyż "omawia szereg m.in. niektóre próby manipulowania plagą alkoholizmu i wykorzystywania jej do niskich celów politycznych w Polsce" /P.A. 10/35/.

Jest to szczególnie sposób reklamy "Miesiąca Trzeźwości".

Jednoznaczne stanowisko wobec sierpniowego apelu zajęły "Argumenty", organ Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej.

W obszernym artykule pt. "Kościół katolicki wobec alkoholizmu" jego autor, Kazimierz M. Kowalewicz, "podsumowuje" całą pracę trzeźwościową Kościoła /"Argumenty" 27.10.1985r/.

Artykuł ten jest ciekawy nie tyle ze względu na swą zawartość merytoryczną /tego jest niewiele/, co z uwagi na intencje, w jakich był pisany.

Konkluzje, do których doszedł jego autor, przedstawione zostaną później.

W tym miejscu interesuje nas jego stosunek do sierpniowego apelu. Jest on jednoznacznie negatywny. Najpierw autor próbuje dyskredytować wyniki badań przeprowadzonych przez "grupę niezależnych socjologów", a których przedmiotem były postawy społeczeństwa wobec wezwania trzeźwościowego z 1984 roku.

Pierwsza uwaga, jaka się tutaj nasuwa, to ta, że redaktor Kowalewicz nie uważnie przeczytał artykuły, na które się powołuje. Chodzi o cykl artykułów A. Bielewicza, które ukazały się w "Przeglądzie Katolickim" w okresie lipiec-sierpień 1985 roku /"P.K." nr 26, 27, 28, 30, 32, 33/.

K. M. Kowalewicz pisze: "A. Bielewicz występuje z protestem przeciwko niedowiarstwu wobec liczby dotyczącej osób, które podchwyciły apele Kościoła. Kwestionuje sposób obliczenia i podawania danych cyfrowych przez GUS, gdyż podawane przez niego liczby nie zgadzają się z obliczeniami uzyskanymi przez "niezależnych socjologów". Sekwencja dotycząca metodologii zbierania danych o spożyciu alkoholu przez GUS jest dość długa. Zainteresowanych



odsyałam do "Przeglądu Katolickiego" /nr 30 z dnia 28 lipca 1985r/.

Od 12 lat zajmuję się od strony naukowej tą problematyką. Jest to wystarczający okres do wyrobienia sobie na ten temat zdania.

Dużą część badaczy uważa, że statystyki GUS mówią nie tyle o spożyciu alkoholu, co o popycie na "monopolkę". Przy czym we wspomnianym artykule nie tyle przedstawiam własne zdanie, co prezentuję wypowiedź "długoletniego pracownika GUS, od lat zajmującego się opracowywaniem sprawozdawczości handlu wewnętrznego". Co zostało wyraźnie zaznaczone.

Nie atakuję "obliczeń GUS", tylko emuncjacje rzecznika prasowego rządu PRL, który nie podał, na czyich informacjach się opiera.

Najistotniejszym fragmentem wypowiedzi pracownika GUS jest stwierdzenie : "W nagłych wypadkach można oszacować spożycie alkoholu nawet miesięcznie. /.../ Operacji takiej nie da się jednak przeprowadzić wcześniej niż 10 każdego miesiąca. W 1984 roku 31 sierpnia przypadał w piątek. Później była wolna sobota i niedziela. Konferencja prasowa odbyła się 4 września, we wtorek. Tak więc na ściągnięcie z 49 województw danych, niezbędnych do złożenia oświadczenia, pozostawał rzecznikowi poniedziałek 3 września".

Z dalszej lektury artykułu wynika, że jego autor zupełnie rzekomo nie rozumie treści tegorocznego apelu. Jak przyznaje : "Wiele tu niejasności, żeby nie powiedzieć - dwuznaczności". Szczególne trudności sprawia jemu ten fragment wezwania, w którym mówi się, że nie jest on zwrócony przeciwko "żadnym osobom ani instytucjom". "To wobec kogo jest zwrócony ?" - pyta bezradnie publicysta "Argumentów".

Przeciwko pewnym naszym przywarom - po prostu.

x x x

Nowym elementem w ubiegłorocznej sierpniowej akcji Kościoła były pikiety przed sklepami monopolowymi.

Najgłośniej było o pikietach warszawskich, gdańskich, kieleckich, sopockich i lubelskich. Pikiety tworzyli członkowie kościelnych bractw trzeźwości, w Kielcach - z dziećmi. Nie miały one charakteru masowego, w żadnym więc stopniu nie zakłócały porządku ulicznego.

Była to pierwsza od kilkudziesięciu lat próba robienia autentycznej propagandy antyalkoholowej przez - jak to nazwał dziennikarz "Dziennika Bałtyckiego" - "ludzi z twarzą, zwyczajnych, przeciętnych, tak jak my szarych. I trzeźwych". /16-18.08.1985r/. Taka forma prowadzenia pracy trzeźwościowej jest absolutnie zgodna z obowiązującą ustawą "O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi".

W artykule pierwszym wspomnianej ustawy czytamy :

"I. organy władzy i administracji państwowej są obowiązane do podejmowania działań zmierzających do ograniczenia spożycia napojów alkoholowych oraz zmiany struktury ich spożycia, inicjowania i wspierania przedsięwzięć mających na celu zmianę obyczajów w zakresie sposobu spożywania tych napojów, działania na rzecz trzeźwości w miejscu pracy, przeciwdziałania powstawaniu i usuwania następstw nadużywania alkoholu, a także wspieranie działalności w tym zakresie organizacji społecznych i zakładów pracy. /.../

3. Organy, o których mowa w ustępie I, współdziałają również z Kościołem Katolickim i innymi kościołami oraz związkami wyznaniowymi w zakresie wychowania w trzeźwości i przeciwdziałania alkoholizmowi".

Władze administracyjne nie zawahały się użyć przeciwko pikietującym sklepy monopolowe aparatu przymusu. Pikiety warszawskie i gdańskie zostały zniesione przez milicję, a niektórzy ich uczestnicy ukarani zostali wysokimi grzywnami przez kologię d/s wykroczeń.

Na pytanie dziennikarza zagranicznego /G. Gans z AP/, czy nie ma sprzeczności pomiędzy deklaracją W. Jaruzelskiego, za cytowaną wyżej, a wysokimi grzywnami, którym zostali ukarani uczestnicy pikiet, rzecznik prasowy rządu PRL odpowiedział :

"Popieramy wysiłki Kościoła w zwalczaniu plagi alkoholizmu, ale niezależnie od tego, jaki cel szlachetny przyświeca osobom, które urządzają zgromadzenie uliczne, istnieją pewne normy porządkowe, mianowicie wymagane jest pozwolenie na zgromadzenie uliczne. Kara grzywny ... miała więc charakter porządkowy" / Express Wieczorny, 21.08.1985r/.

Sprawa nie jest aż tak jednoznaczna, jak tego chce rzecznik prasowy rządu.

Świadczy o tym chociażby orzeczenie lubelskiego kolegium, które po ponownym rozpatrzeniu wniosku organów porządkowych, odstąpiło od karania osób biorących udział w pikietach.

Kwestia ta stała się przyczyną swoistego "buntu" lubelskich ławników.

Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy milczał, gdy kilku działaczy trzeźwościowych zostało skazanych na grzywny za działalność, która stanowi nominalnie podstawowy cel istnienia Komitetu.

W przemówieniu wygłoszonym na V plenum ZG SKP przewodniczący Kazimierz Kukawka przypomniał, że obowiązującą obecnie formą polityczną jest zasada : Porozumienie - Walka - Od-



nowa. Przy czym wyjaśnił, że dla SKP "porozumienie" oznacza "działanie wszystkich ludzi dobrej woli, zorganizowanych politycznie i nie zorganizowanych - w tym kierunku, aby zahamować wzrost pijaństwa i alkoholizmu, a upowszechnić szacunek dla życia w trzeźwości". /P.A. 7-8, 85/.

Ostatnio wyraźnie rysuje się tendencja do obarczania Kościoła winą za brak sukcesów w walce z szeregiem patologii społecznych, a między innymi z pijaństwem i alkoholizmem.

W sierpniu ubiegłego roku ukazał się w "Życiu Warszawy" artykuł prof. Aleksandra Krawczuka, w którym czytamy :

"Jest rzeczą zastanawiającą, że instytucja /Kościół - A.B./ szczególnie powołana do walki z tym zjawiskiem /chodzi o wulgaryzację języka polskiego - A.B./, podobnie, jak z alkoholizmem, okazuje się już od wieków całkowicie bezsilna ! Co dowodzi w sposób wyrazistszy niż tony rozpraw socjologicznych, czym się cechuje religijność w tym kraju, jak bardzo jest powierzchowna i tylko obrzędowa". /"Ż.W.", 24-25.08.1985r/.

Nie jest to pierwsza tego typu uwaga prof. Krawczuka. Podobny motyw odnajdujemy we wspomnianym już tutaj artykule zamieszczonym w "Perspektywach", w którym czytamy :

"Uwagę opinii publicznej nie tylko w naszym kraju zwraca często rozchodzenie się w Polsce wiary i moralności życia codziennego".

Dalej autor powołując się na angielski tygodnik "Tablet" pisze :

"Mimo wzrostu przewidywanej religijności nadal szerzą się pijaństwo, rozwody, łapownictwo i oszustwo, a w kolojkach do sklepów czasami wyzwalają się w ludziach najgorsze instynkty /16.08.1985r/."

Pogłębienie formacji religijnej narodu polskiego podniosłoby z pewnością jego poziom moralny. Badania naukowe u nas przeprowadzone dowodzą, że wraz ze wzrostem poziomu religijności spada np. wielkość konsumpcji alkoholu.

Typada więc się cieszyć, że "Życie Warszawy" i "Perspektywy", które, jak wynika z cytowanych artykułów, doszły do podobnego wniosku, i którym z pewnością leży na sercu dobro **narodu polskiego**, chcą włączyć się do pracy nad wzmocnieniem pierwiastka religijnego w naszym życiu.

Przysłowiową kropkę nad "i" stawia K. M. Kowalewicz w cytowanym już artykule pt. "Kościół katolicki wobec alkoholizmu".

Za pomocą żmudnych analiz historycznych autor dowodzi, że Kościół "ponosi przynajmniej /podkreślenie A.B./ współodpowiedzialność" za rozpicie narodu polskiego. To na poziomie werbalnym. Natomiast na poziomie intencjonalnym - całkowitą odpowiedzialność. Dowodów na to dostarcza autorowi biskup Ignacy Krasiański.

Podobnie rzecz widzi redaktor naczelny "Problemów alkoholizmu", dziennikarz "Trybuny Ludu", red. Jan Brodzki.

Pisząc o kłopotach, na jakie się napotyka w pracy trzeźwosciowej, stwierdza : "Niestety często bywa, że niecznie manipuluje się świadomością obywateli /uwalniając niejako od odpowiedzialności za własne postępowanie tę część społeczeństwa, która alkoholu nadużywa/ i całkowitą odpowiedzialnością obarcza się ... władze. Imputując przy tym władzom zamyśły i perfidny, które wylegać się mogą bądź w chorej wyobraźni, bądź w perfidnych zamysłach politycznych

Oto wołał tej wiosny w kościele w Korytnicy w województwie siedleckim osławiony ks. Małkowski : /.../ Dochody z alkoholu czerwony smek przeznaczają na wprowadzenie stanu wojennego, zamach na papieża i zajęcie Afganistanu /.../.

Wołał ks. Miśraszewski, sekretarz z Rzeszowa na kazaniu w kościele w Dębowcu w województwie kroszeńskim : "/.../ Przywódcy narodu nauczyli ludzi pić /.../".

Podawali ludziom do wierzenia insyntyje ks. Niemiec w trakcie rekolekcji wielkopostnych w Legnicy i ks. Zalewski we Włoszczowej /w województwie kieleckim/, że władza rozpije naród, by łatwiej nim rządzić.

Zadziwiająco, że lansowanie tego rodzaju oszczerstw jest przez przełożonych tych duchownych tolerowane. Zadziwiająco tym bardziej, że bardzo wielu duchownych lojalnie, szczerze współdziała i ze Społecznym Komitetem Przeciwalcoholowym i z terenową administracją i realizuje różne cenne poczynania przeciwalcoholowe". /"T.L.", 14.08.85r/.

Artykuł ten jest interesujący z wielu względów.

Po pierwsze, wyraźnie w nim się wskazuje, kto "pruździ" w robocie trzeźwosciowej. Jest to zarzut wręcz kuriozalny, zwłaszcza, że stawia go redaktor naczelny "Problemów Alkoholizmu". I do tego w sierpniu - miesiącu, w którym praca trzeźwosciowa Kościoła nabiera szczególnej dynamiki. W okresie, w którym władze państwowe uwięziły kilku działaczy za ich aktywne postawę "antyalkoholową".

Mimo, iż w artykule wymienić się nazwiska czterech duchownych, nie ulega wątpliwości, że jest to atak na cały Kościół. Widać to wyraźnie, jeśli spojrzymy na niego w kontekście cytowanej wypowiedzi prof. A. Krawczuka, artykułu w "Perspektywach" i w "Argumentach". To Kościołowi, a nie ks. Małkowskiemu zaczyna się, że traktuje problem pijaństwa i alkoholi-



znu instrumentalnie i koniunkturalnie, że wykorzystuje go do realizacji swych "perfidnych zamysłów politycznych".

Oo więcej, w artykule tym publicysta "Trybuny Ludu" zarzuca wręcz Kościołowi działania na rzecz rozpijania społeczeństwa. Tak! bowiem trzeba rozumieć następujący passus:

... "Uwalniając niejako od odpowiedzialności za własne postępowanie tę część społeczeństwa, która alkoholu nadużywa".

Po raz kolejny już dowodzi się, że są duchowni dobrzy, tzn. "lojalni" wobec władz, i duchowni źli.

W tekście tym jasno ukazana jest rzekoma droga poprawy - SKP i terenowe organy administracji państwowej. "Tęskniwa aktywność trzeźwościowa może ujawniać się tylko na tych polach. Tak jak było do sierpnia 1980 roku, kiedy to SKP miał monopol na działalność "antyalkoholową".

Józefa Hennelowa

### "WIDZIANE Z DOMU"

#### Od redakcji:

Pani Józefa Hennelowa i jej felietony z cyklu "Widziane z domu" znane są dobrze czytelnikom "Tygodnika Powszechnego".

Wiele z Jej felietonów nie ukazało się jednak na łamach "T.P.", gdyż zostały skonfiskowane przez cenzurę. Kilka z tych niewydrukowanych felietonów prezentujemy dziś naszym czytelnikom /bez zgody i wiedzy autorki/.

Wydaje się nam, że ich głęboko humanistyczna treść przystaje jak najbardziej do idei "Zeszytów" i pozwoli nam zastanowić się przez chwilę nad ludzkimi sprawami, bez zrozumienia których nie może być mowy o służbie dla zdrowia człowieka.

W następnych numerach "Zeszytów" postaramy się zamieścić dalsze felietony.

### OTO TWÓJ ŚWIAT NA OSTRZU MIECZA

Dla wyjaśnienia. Rubryka ta pojawiła się niniejszym w "Tygodniku" na prawach gościny. Pisałam ją przez kilka miesięcy, ubiegłego roku dla Tygodnika "Solidarność", gdzie ukazywała się dość nieregularnie; poświęcona była zagadnieniom wychowawczym.

Czas pokazało, ile potrwa obecna gościna. Czy będzie to prosta kontynuacja tamtych odcinków? Raczej nie - tak jak nie jest prostą kontynuacją nie, co podejmuje się z powrotem po cenzurze 13 grudnia 1981 roku. Nic już bowiem z nas i dookoła nas nie może od tamtej daty być takie samo. Upłynięło jeszcze wiele czasu, zanim świadomość tego dotrze do nas w całym swoim wymiarze.

Powroty do horyzontu domu rodzinnego cechują czas następujący po kataklizmie.

Dwa lata po drugiej wojnie światowej pisał poeta:

Oto twój świat na ostrzu miecza:  
Zrywa się wiatr, na trawie wznieca  
Uschniętych liści suche wiry,  
Głębie się na daszek wbiły,  
Zaszczokał pies, przebiegło dziecko,  
Ktoś kornus daje znak chusteczką.

Oto twój świat. On jest na szali.  
Politycy grę już przegrali ... "

Niewydorna jest siła prawdy elementarnych nakazów życia: faktu, że w każdą porę i każdą pogodę, wśród ruin czy pod ostrzałem, kobieta tak samo wataje, by nakarmić niemowlę i zatroszczyć się dlań o suchą pieluszkę; że czykolwiek bylibyśmy pochłonięci albo załamani, dziecko tak samo zaczyna zadawać pytania i wiewy, że biada nam, gdybyśmy zobojętnieli na to, czy w odpowiedzi usłyszymy prawdę, czy kłamstwo.

Greźne jest dopiero "ideologia prywatności". Zbyt wiele razy i dla zbyt wielu była już narzędziem.

Podsumowało się ją ludziorą, żeby zaprzestali patrzenia szorzej i troskania się o więcej. To prawie zawsze chwyta. Czysto biologiczne zabieganie o gniazdo. Linia horyzontu na krańcu kójca. Przytulność choćby względna, bezpieczeństwo bodaj najkruchsze, stabilność przynajmniej derżna.

Wszystko, co na tę chwilę wydaje się nazbyt trudne i złożone, wszystko to odłożono na bok w imię potrzeby przetrwania. Ooś tam się jakoś przeciw gromadzi, wywalcza, składa na



kupkę. Oś tam się jakoś urządza. Od czasu do czasu spada garstka manny okraszona efektywnym słowem, i kwitujemy ją odruchem wdzięczności: "więc jednak nie jest tak źle, więc nie zostawiono nas samych sobie". Zaczyna działać Miłoszowski "Prawo Zmniejszonych Celów" /"... ubóstwo i gorycz albowiem są koniecznym warunkiem szczęścia..."/.

Uziemieni skutecznie zastępczą aktywnością dyskusji nad kierunkiem kolejki albo nad kolorem bonów reglamentacyjnych, zastanawiamy się, czy nie zrezygnować z wszystkiego, co gotowi jesteśmy nazwać marzeniami.

Może jeszcze podsunęta nam zostanie zastępcza agresja - ot, choćby wobec przekupki za drogo liczącej za pietruszkę; i zastępcze wzruszenie kolorystyczne lub słuchowe - jakiś nastrój, jakieś pseudo-świąto.

Ale są to manowce. Wcale nie musimy tam zabrnąć. Przecież prawdziwy powrót do gniazda - to powrót na umocnione pozycje. Ostatecznie zawsze chodzi o formowanie się człowieka. O jego wzrost, o jego dojrzewanie.

I dom rodzinny, nie po co innego jest, jak po to, by tam dorastał człowiek, który prędzej czy później go opuści, żeby poza nim, w świecie takim, jaki zostanie, realizować siebie i swoją wiarę. Płacąc za to być może i taką cenę, która ugodzi w sam dom.

maj 1989

### RAZEM CZY OSOBNO

Wszystkie ugory, wszystkie nieużytki zamieniono na grządki. Nawet tam, gdzie zdawało się żadna siła nie ruszy zwałowiak betonowych płyt, gruzu, węzłowego śmiecia.

Miniaturowe prostokąty, schludnie wyrównane, ogrodzone bodaj kawałkiem sznurka z naniżanymi szmatkami, pierwsze przecinki wschodzącej zieleni, brak alejek, brak ławeczek, kwietników, doraźne, pracowite prowizorium obliczone na plon, na użytek praktyczny, przydzielane samym sobie bez administracyjnych zabiegów, bez papłerek i okólników, ale respektowane na zasadzie wzajemności.

Rzucili się ku temu wszyscy, kto żył, połowa osiedla co najmniej, a druga tylko dlatego nie, że już nie było skąd wykrawać ogródków.

I tak wciąż jeszcze znikają pod uprawą choć trochę zapuszczone trawniki, ścieżki wydeptane na skrót, resztki wspólnych dotąd terenów zabaw. Coraz ciasniej dokoła piaskownicy. Kto może, sadi pomidory i wysiewa pietruszkę, nawet ci, którym wcale nie przyszłoby z trudnością zakupienie tych samych warzyw w pobliskim kiosku czy zielniaku.

Co tak nęci: sama praca przy ziemi, satysfakcja posiadania czegoś własnego, pociecha płynąca z nieuświadomionej nawet myśli, że nareszcie robi się coś, co ma sens i z czego będzie na pewno rezultat?

To nie jest chyba pasja ogrodnicza, pasja hodowców. Bloki sterczące nad tymi skrawkami ogródków są przecież od lat tak samo szare i gołe, choć wszyscy mają balkony, a ponury składnik wykonawca-partacz pomieszczał jednak na balustradach zaczepy na skrzynki. Na palcach jednej ręki policzyć można gdzie jakieś skrzynki w ogóle zawieszono, a z żadnej nie kipią kolorowe festony kwitnących roślin, od jakich przelewa się każdy ganek, każde okno i taras najmniejszego domku ot, u Austriaków chociażby.

U nas nikt nie sadi kwiatów. Nie po to są i te setki samozwańczych grządek. One służą celom praktycznym.

Znikają ugory, ale osiedle nie pięknieje. Po staremu samochody rozjeżdżają każdy kawałek gruntu nadający się do skrócenia drogi, każdy deptak, gdy zabraknie miejsca na parking, każdy chodnik. Nikt nie sadi drzew, które służyłyby w s z y s t k i m, nikt nie zbiera się, by zreperować ławki albo huśtawkę koło piaskownicy, nikt nie strzyże traw żeby lepiej wytrzymała ciężar tabunów dziecięcych nóg kopiących piłkę.

Także i te poratowane skrawki pod przysięgą sałaty czy fasole, jedyne tereny, na których widać schylonych ludzi pogrążonych w skrzętnym wysiłku, nie komponują się w żaden ład wyższego rzędu, w żadną zorganizowaną całość, która cieszyłaby oko nie tylko samych właścicieli, lecz każdego, kto przechodził tędy choćby przypadkiem.

Z tej powszechnej skrzętności nie wynika na razie nic wspólnego, nic, co za adresata miałoby kogokolwiek poza samym pojedynczym użytkiem. Żebyż bodaj ujednolicone ogrodzenie bodaj zamontowana dla wszystkich ławeczka - nic. Owszem, teren ogródków obrasta nowym śmietnikiem, bo gruz i odpadki uprzątnięte z własnych parunastu metrów kwadratowych wyrzuca się po prostu poza "swoją" terań; nie troszcząc się, czy w tym nowym miejscu komuś to nie zawadza, nie szpeci, czy dziecięce kolana nie pokrzwają się przy upadku na rozbitym szkle.

Wszystko jest osobno. Dlatego tak konkretnie, przyziemnie i szaro. Potrzeba stworzenia czegoś więcej niż doraźna własna praktyczność, potrzeba twórcza, na już adresata w innych, nie w sobie.



Wyższa skuteczność, ta, z której rodzi się kultura, zakłada jakieś porozumienie, wspólnotę. Potrzebę obdarzania - choćby kolorami mego balkonu, choćby troską o wspólny zielony kawałek gruntu pod wieszakami i oknami.

Czy można to nakazać? Czy można to wmówić ludziom? Wyperswadować im jakikolwiek kazaniem?

Przecież tak zostali wychowani. Tak ich formowały lata i dziesiątki lat. "Razem" było nie znaczącym frazesem. Aby na zewnątrz i głośno. Własny interes trzeba było pielęgnować jakoś wbrew tańcom "razem", po cichu, zamykając się przed innymi.

A kiedy stało się tak, że wreszcie zechcieli naprawdę razem i dla wszystkich, naprawdę wspólnie i nie w imię egoistycznych interesów, lecz dla dobra powszechnego - i zanim nauczyli się tego, co takie trudne, nieproste, co po raz pierwszy od tak bardzo dawna podjęto, wybito im to z głowy brutalnie, całkowicie i przy akompaniamencie najbardziej niezasłużonych inwoktyw.

Taką lekcję można zapamiętać na długo. Teraz więc trudzą się, każdy z osobna, nad swoimi grzechami wielkości chustki do nosa. I niech żaden moralista nie czepia się ich niepotrzebnie.

maj 1982

## NIEOBECNI

Pani Danucie W.

Marcin ma trzy i pół roku. Marcin nie widział ojca od paru miesięcy i prawdopodobnie nie zobaczy go jeszcze przez najbliższe trzy lata.

Spotykając go - jest synkiem zaprzyjaźnionej z nami młodej kobiety - myślę zawsze o tych wszystkich dzieciach, które muszą wzrastać bez ojców.

Zmieniła się rola ojca. Ta dawna, patriarchalna rola niewzruszonego filara podtrzymującego całą konstrukcję rodziny, jedynego żywiciela i najwyższego autorytetu, sędziego i dyspozytora losów, odeszła w przeszłość. Ale nie zmieniła prawdy, że w rodzinie pozostawionej ojca bez porównania trudniej chować dziecko niż w rodzinie pełnej, nie rozbitej, nie osieroconej.

Ten rodzaj bezpieczeństwa, jaki normalnie zapewnia ojciec, ten sposób reagowania na świat, na ludzi, jaki on przekazuje, ta miara rzeczy, jaka wszczepia dzieciom, jest czymś innym niż oddziaływanie matki, nie do podrobienia, nie do naśladowania, a tak samo bezwzględnie niezbędnym, jak jej bliskość, jej ciepło, jej serdeczna mądrość i drobniągowa troskliwość.

Jest ich dwoje, kiedy dziecko zaczyna żyć - i powinno ich pozostać dwoje wtedy, kiedy dziecko wyrasta, aż do dorosłości. Więc jeśli ojca brakuje?

Olbrzymie jest zagrożenie, gdy nie ma go właśnie od początku. Gdy odchodzi tak wcześnie i tak lekko, że nie pozostaje po nim nawet dobre wspomnienie. Bywa, że jedynym ratunkiem jest wówczas ktoś, kto go zastąpi i sprawi, że w pamięci dziecka, puste, raniące miejsce zasnuje się dobroczynną tkanką oddziaływania innego bliskiego, najbliższego człowieka.

Pamiętać o ojcu niegodnym - ojcu, którego nie ma - jakie to trudne dziedzictwo, jakie obciążenie na całe życie...

Brak człowieka najbliższego, odebranego przez śmierć, ale do którego można bodaj odwołać się pamięcią, jeśli nie swoją, to najbliższych, i to pamięcią dobrą, serdeczną - tutaj jest możliwość sprostania potrzebie wierności, którą dziecko nosi w sobie bardzo głęboko. I jakkolwiek byłoby ciężko, może się to okazać wystarczające jako fundament wzrastania.

Ale ojcowie, których zabrakło tylko na jakiś czas?

Jak pogodzić dziecko z nieobecnością, która przeczy wszystkim jego potrzebom, i to pogodzić w sposób, który nie będzie ani próbą nazbyt ciężką na jego siły, ani nie zmarnuje szansy, jaka tkwi nawet w takiej dramatycznej sytuacji - właśnie dla rozwoju dziecka, dla jego dojrzywania?

Jeśli ta nieobecność nie kładzie się żadnym cieniem, żadną rysą na osobie tego najbliższego dziecka człowieka, przeciwnie, jeśli ona właśnie dodaje obrazowi nieobecnego człowieka wartości i blasku - w tym samym funkcje jest olbrzymia siła oddziaływania.

Wiara w najbliższych, którzy nie zawiadają, jest dziecku potrzebna jak powietrze.

Potrzebne mu jest niewzruszone przeswiadczenie, że ci, którym zaufało, którzy kierują jego życiem i jego wyborami, są wierni w miłości i wierni temu, czego uczą.

Autorytet przekroczył sam siebie nie wtedy, gdy ulega słabościom - od monumentów człowiek na pewnym etapie wzrostu odwracać się zaczyna z obrzydzeniem - ale wtedy, gdy okazuje się, że on sam za nic ma dewizy własnych sztandarów, że mu wszystko jedno, że w czarnym i białym jednakowo dobrze się umości.

Wierzyć można także nieobecnemu - przez tę nieobecność nawet silniej. Trudna to próba



• ryzykowna, wolno się bać, żeby nie była próbą ponad siły, nie stała się rodzajem moralnego szantażu. Ale trudna, to nie znaczy niemożliwa.

Dziecko trzeba koniecznie pocieszyć i podtrzymać w jego zachwianym poczuciu bezpieczeństwa. Ale przecież dziecko to człowiek wrażliwy, z zadatkami na dojrzałość od początku swego życia. Temu człowiekowi osamotniona matka nie boi się mówić: zabrakło ojca, więc ty to zrobisz za niego. Ty go zastępisz. Ty do niego dorosisz.

Rozumie to i potrafi robić - w swoim dziecięcym, wzruszającym wymiarze - nawet trzy i pół letni Marcin.

Marcin "dba o mamę" zamiast ojca. A równocześnie odbiera należną mu codzienną dawkę zdwojonej czułości i zdwojonej pogody, wbrew wszystkiemu i na przekór wszystkiemu.

Nieobecni także wychowują. Inaczej, ale skutecznie.

Wszystko jest w rękach najbliższych, którzy pozostali. Zależy od ich męstwa i mądrości. Jeśli najbliżsi nie zdradzają nieobecnego, dziecko nie zostaje sierotą.

maj 1982

### INFANTYLNE

"Traktujecie nas jak dzieci" słychy się od młodych ludzi - a to znaczy: nie bierzcie poważnie nas, naszych ambicji, naszej zdolności rozumienia spraw, naszej dobrej woli.

Mierzycie poniżej nas i naszej wewnętrznej prawdy. To się zawsze odbiera jako lekceważenie, wręcz pogardę.

"Jak dzieci".

Małe dziecko istotnie daje się oszukiwać dorosłym: kolorowym przedmiotem, który odwróci uwagę od bólu, bajeczką kryjącą prawdę nazbyt ciężką, apelem do zaufania, które dziecko tak bardzo chce okazać najbliższemu sobie, że zgadza się zapomnieć, ile razy go już nadużyli. Ale przypatrzmy się uważnie jego spojrzeniu, gdy już się spostrzegło, że coś nie tak: że ktoś chce mu tanio schłobić, podejść je, przekupić.

Ileż w tym spojrzeniu bezlitosnej uwagi, a potem jakby politowania. Ile postaw serio - i jaka odprawa dla pochlebcy.

Małe dziecko też oczekuje, że będzie brane na serio. To znaczy: z szacunkiem. Dla wszystkiego, czym jest i czym żyje. Nic tak nie rani jak lekceważenie - wszystko jedno, czy się ma lat trzy, czy trzynaście, czy jeszcze o dziesięć więcej.

I nie tak nie ujmuje, nie przywiązuje, jak szacunek okazany dziecku. Człowiek, który potrafi z dzieckiem rozmawiać, i bawić się, czyli właśnie człowiek, który je bierze na serio, może liczyć na to, że wszystko jego wymagania i oczekiwania zostaną przyjęte dobrze, bo będą apelem do wewnętrznych możliwości dziecka, a nie mechanicznym naginaniem go do jakichś wydumanych wzorców.

Okazać brak szacunku można nie tylko odwracając się od świata, w jakim dziecko żyje. Ten kto zawsze "wie lepiej", za wychowanka, za podopiecznego, również może go zranić prawdziwą pogardą.

Popatrzcie na dziecko budujące zamki z piasku na plaży: zranił je ojciec nie przejmujący się wydarzeniem, że oto tak wspaniale wreszcie się udało; oburzył go stopa obcego, bezmyślnie rozgniatającego wyglaskane fosy; ale zachnie się również i na nadgorliwą pomoc starszego, który chciałby mu wyrwać łopatkę, żeby pokazać, jak to się naprawdę buduje - w tej niewczesnej inicjatywie dziecko odczyta lekceważenie tylko dla swego dorobku i swoich sił, i nie zgodzi się ustąpić z nich na rzecz obcego ma idealnego osiągnięcia.

Tysiące konfliktów okresu dojrzwania to dramatyczne demaskowanie tych właśnie mechanizmów: wzrastającej potrzeby bycia brany na serio zderzonej z zabiegami wychowawczymi, w których nie sposób odnaleźć szacunku dla wrażliwego człowieka.

Nigdy tak ostro jak wtedy nie są kwitowane oporem i drwiną fałszywe oferty, pozorne programy, nadużywanie słów. I nigdy tak wspaniale nie wybucha wiara w ludzi, którzy potrafią nie kłamać i potrafią odwołać się do najbardziej własnych pokładów rozbudzającej się osobowości.

Kiedy to się kończy? I czy musi kończyć? Czy człowiek dorosły musi zrezygnować z wymagania dla siebie szacunku? Czy może pozwolić, by go obrażano brakiem zaufania, nie mówiąc mu prawdy, bo może okazać się za trudna, podsuwając mu gotowe znaki wartości, dokonując za niego wyborów a jemu schłabiając w najtańszy sposób: przez proponowanie zastępczych emocji i zastępczych zainteresowań?

"Pedagogika" społeczna, która usiłuje traktować dorosłych "jak dzieci", powołująca się na dobro nadrzędne, na głębszą i dojrzałą wiedzę o świecie u wychowawców i zwierzchników, w gruncie rzeczy bazuje na pogardzie dla człowieka. Czasem wybucha to fajerwerkami szczególnie jaskrawymi.

Oto czołowy publicysta czołowego tygodnika dokonuje swego "oswojenia Czarnego Luda", streszczając jedną z najostrożniejszych powieściowych wizji przyszłego totalitaryzmu -



"Rok 1984" - w taki sposób, że wychodzi z tego nieszkodliwy horror.

Oto spiker telewizyjny uroczystym głosem, jako pierwszą wiadomość dnia, serwuje nam obraz kraju o wyludnionych ulicach i mieszkańcach zastygłych przed telewizorami, na których idzie transmisja nieistotnego piłkarskiego spotkania ...

Ileż "bajoczek dla dorosłych" podaje się nam we współczesnym świecie na śniadanie, obiady i kolację. Czy rzeczywiście ma to być strawione bez protestu ?

Dziecko oczekuje szacunku dla siebie od momentu, gdy zaczyna się w nim budzić człowiek. Więc dorosły, który pogodziłby się z tym, żeby go traktowano "jak dziecko", nie byłby już normalnym człowiekiem.

czerwiec 1982

### "TEN JEDEN DZIEŃ ZUPEŁNIE NAS ZAŁAMAŁ ..."

To zdanie wypowiada w reportażu Grażyny Straszak /"Dziennik Polski" nr 91/ dyrektor tarnowskiej szkoły ogrodniczej. Dzień ten gdzie indziej w tymże tekście nazywa się "trudną do usunięcia plamą na 100-letniej historii szkoły". Znanej, renomowanej, chlubiącej się dorobkiem.

Cóż się takiego zdarzyło ?

Z klasy przedmaturalnej rolegowano nagle troje uczniów, dotychczas dobrych a nawet "zaangażowanych społecznie". Za co ? Jeśli aż "plama" na historii szkoły, jeśli stan ducha kierownictwa określony jako złamanie, to zapewne postępki uczniów były nie tylko wyjątkowo szpetny, ale odkształcały także skazy charakteru wychowanków, które nie rokuje już nadziei na poprawę ?

Zacytujmy opis, bo tu każdy szczegół ważny :

"W południe 13 maja Marek wręczył profesor Z. K. odręcznie napisaną kartkę, że przez 15 minut chcą u c z e i ć p a m i ę ć /podkreślenie : moje - J. H./ . Marka poparła Krysia i Bogdan". Oto i całe zdarzenie.

Reportarka "Dziennika" twierdzi, że nikt naprawdę nie wiedział, o czym to pamięć chodzi. My zgadujemy, że mogło chodzić albo o pamięć o rocznicy zamachu na życie papieża Jana Pawła II - albo o poległych przed pół rokiem górnikach z kopalni "Wujok". Tak czy inaczej - o pamięć najuczciwszą, pamięć o ludzkim cierpieniu albo o ludzkiej tragedii.

Czy pragnienie uczczenia takiej pamięci może w ogóle podpadać pod kryteria czynów kompromitujących, omal przestępstw ?

Wiem, wiem, zainteresowani odpowiedzą mi natychmiast, by nie udawać naiwnej, bo tu wszak chodzi po prostu o "niesubordynację" w jasno określonych warunkach i o całkowicie niedwuznaczne "wytyczne". W tym stanie rzeczy sam pomysł - zwróćmy uwagę, że uczeń nawet niczego nie inicjował, on dopiero przedstawił nauczycielce pisemną, a więc dyskretną propozycję - sam ten pomysł staje się już przestępstwem. W normalnym czasie nawet najprawdziwsza propozycja p r o p o z y c j a , w dodatku w tak niemarnifestacyjny sposób wysunięta nie miałaby prawa podlegać żadnym sankcjom - wystarczyło ją przeciw odrzucić. Ale tu był stan wyjątkowego spanikowania umysłów i stan ten miał swoje korzenie.

Reportarka chwali panią profesor za "przytomną reakcję" : otrzymawszy kartkę nie dyskutowała z uczniami ani na tak, ani na nie, tylko "zbiegła z trzeciego piętra do dyrekcji". Z meldunkiem ? Po instrukcje ? No i lawina ruszyła. Zmiotła troje młodych ludzi.

Co myślą teraz i czego ich - a także ich kolegów - ten dzień nauczył, to już sprawa osobna, której jak sądzę nie przeniknie ani dziennikarz, ani ciało pedagogiczne owej renomowanej szkoły.

Nie oni też są bohaterami tego tekstu, tylko nauczyciele. Profesorka, która spieszy "do dyrekcji". Dyrektor, który jest znawcą Makaronki i Fleminga, a zastanawia się teraz pono całymi dniami, dlaczego mu się tak "nie powiodło" w pracy wychowawczej.

O nich się martwię. O to, co z nich zrobiono.

Ktokolwiek rozprawia o młodzieży, wielkim głosem woła o jej samodzielność umysłową, silny charakter, zaangażowanie w sprawy ogólnie, o odwagę cywilną i nonkonformizm, nawet o bunt, o umiejętność wychodzenia z utartych kolein, bezinteresowność. Itd, itd, itd. Wszysktko to słyszeliśmy wiele tysięcy razy i posłyszemy drugie tyle jeszcze. A gdy przychodzi do praktyki, autorzy tych samych słów promują ślepe podporządkowanie, myślowy dryl, duchowe obezwłasnowolnienie - i bardzo dotkliwymi narzędziami wybijają z młodych głów próby realizowania tych wartości, które ci młodzi naprawdę zochcieli sobie przyswoić.

Pani profesor i pan dyrektor ze szkoły ze stuletnią tradycją, kiedy już z powrotem znajdują się w czasie normalnym, w którym tego rodzaju wystąpienia uczniów nie będą już musieć być traktowane jako przestępstwo - być może zataśkną za zwyczajną uczciwością myśli i postępów u swoich podopiecznych.

Co właściwie pozostanie im wówczas w rękach na nowy zasiew ? Z jakich rozbitych szczątków będą próbowali sklejać wzorce obywatelskie i ludzkie, które młodym ludziom nie przostaną być potrzebne ?

czerwiec 82



## OCZEKUJĄCY

Książę Winston, bohater Orwellowskiego "Roku 1984", więziony w podziemiach Ministerstwa Miłości, dostrzega w pewnym momencie posuwając się w jego stronę kłatkę ze szczurami, w której przewidziano otwór na jego głowę, doznaje lęku, który każe mu błagać, aby na jego miejsce wepchnięto najdroższą mu istotę.

Jeszcze nie tortura - samo jej oczekiwanie staje się grozą wymazująca w nim resztkę niezawisłego człowieczeństwa. Strzęp człowieka, który później, z powrotem w dobrej fizycznej kondycji, wyjdzie na "wolność", nie będzie już niebezpieczny dla żadnej władzy, dla żadnego porządku publicznego.

Oczekiwanie zła może zniszczyć człowieka. Może zabić w nim duszę. Ale oczekiwanie dobra człowieka odradza, okazuje się siłą tak twórczą, tak ożywiającą, że pod jej wpływem człowiek rozkwita do pełni swych możliwości. I to nie w drodze wyjątku, możliwości, prawdopodobieństwa. Tak jest zawsze.

Taka jest prawda. Oczekiwanie dobra samo jest dobrem; oczekiwanie daru samo jest darem - przeżyciem, które, zapowiadając coś jeszcze lepszego, równocześnie już zaprasza do odpowiadania, przez wydobycie z siebie wszystkiego, co do dobrego jest zdolno.

Ludzie powinni czekać na dobro i doczekać się go. Tak jest zbudowane nasze życie.

Dziecko nas uczy, co to jest oczekiwanie i jak się czeka.

Dziecko czeka całym sobą, czeka w radości. W koncentracji, dla której wszystko poświęci. W gotowości, by zrobić wszystko, czego to oczekiwanie oczekuje z kolei od niego; by odpowiedzieć na wezwania, czynić przygotowania, wybiegać naprzeciw, okazywać wysiłkiem dobrej woli ową "zasługę", przybliżając czas spotkania z oczekiwanym.

Gotowe jest wszystko zrobić dla daru, który się zbliża. Szakuje to zbliżenie, liczy czas, który płynie - i to samo już je uszczęśliwia.

Świat nabiera wyrazistości i kolorów, czas - smaku. Zasypia rając w oczach obraz nadchodzącej wspaniałości; rano wstaje i uśmiecha się, bo razem z nim obudziła się świadomość, że to już bliżej. Zaprasza innych do udziału w tym oczekiwaniu, chce by je z nim dzielić.

Gdy takiego przeżycia dozna, nie trudno mu wytłumaczyć, co to jest nadzieja. Nadzieja, rdzeń ludzkiego życia na tym świecie. Istota chrześcijańskiej wędrówki. To przecież właśnie owo oczekiwanie: na dobro, które na pewno przyjdzie. Na ukochanego człowieka, na święto, na realizację najgłębszej potrzeby i najgłębszego marzenia.

Takiego oczekiwania zawieść nie można. Nadzieja dziecka musi być bezpieczna. Owo nadchodzące dobro to nie być pewność, nie loteria.

Zawieść oczekiwanie dziecka - jaka zbrodnia. Nie dać mu nigdy oczekiwać; zaspokajać zanim jeszcze nie spodziewać się i wyglądać - jakie obóstwo. Pozwolić mu się lękać - to znaczy: spodziewać już zła zamiast dobrego - nie na rzeczy gorszej. Życie dziecka nie może być odarte z czekania na dobro.

Rytm życia ludzkiego, rytm domu i rytm kultury - to falowanie, w którym zarazem oczekujemy i spełniamy. Oczekujemy narodzin ludzkich i dojrzałości swojej, potem dzieci. Oczekujemy świąt. Tak czyni Kościół w swojej liturgii i tak czyni każda społeczność nadająca trwałą formę swemu bytowaniu w tych samych wciąż okresach.

Jest pewność nadchodzenia tych uroczystości, które powtarzającymi się wzniesieniami znaczą każde życie społeczne - i są nadzieje szczególne, spiętrzające się w wyjątkowym dramatyzmie swojego czasu, samą swoją intensywnością świadczące o prawdzie i zasługujące na to, by wreszcie doczekały się spełnienia.

Rozczarowanie różnych oczekiwań ludzkiej wspólnoty, odebranie społecznej nadziei, czas historyczny odarty z oczekania - to zagrożenie ludzkiego bytu w wymiarze krańcowym, ostatecznym.

Nawet więźniowi określa się wyrok dokładnie - aby wiedział, jak stopniować swoje oczekiwanie, jak pielęgnować ubogą nadzieję. Dlatego wyroki bezterminowa są takim okrucieństwem.

I nia byłoby chyba większego smutku niż widok jakiegokolwiek ludzkiej społeczności odartej z wszelkiego oczekiwania. Społeczności bez żadnej nadziei.

czerwiec 1982

## PAŁECCZO W SZTAFETIE

Pamiętacie, jacy wtedy byliśmy, trzy lata temu, kiedy był wśród nas Jan Paweł II? Uskrzydleni radością i wzruszeniem, i w tej radości i wzruszeniu otwarci na siebie nawzajem, bezinteresowni, skorzy do pomocy, współpracujący, przyjaźni wszystkiemu i wszystkim? Po raz pierwszy od dziesięciu lat tak dotykaliśmy, tak jednoznacznie solidarni.

Co z tego pozostało nam dzisiaj, na czas, który tamtych dziesięciu dni w niczym nie przypomina?



To prawda : wtedy pomagało wszystko - dziś wszystko jest próba. Wtedy przychodziło bez wysiłku, samo z siebie - dziś musi być wciąż odnawiana decyzja płynięcia przeciw prądowi. Nieustannym wysiłkiem.

Solidarność - umiejętność bycia z innymi, w imię wartości nieporównanie większych niż własny prywatny interes. Doznawanie wspólnoty ideowej. Wtedy, przed trzema laty, ta umiejętność szła od osoby Jana Pawła II. Wiedział, jak ją w nas ożywić, jak sprawić, by przejawiała się w czynach.

Ale przecież nie może zawsze On. Trzeba samemu. Na przekór goryczy, samotności i lęku. Radość cudownie zespala. Gorycz, strach - atomizuje, dzieli, rozprasza. Dzień powszedni niesie zubożenie, zniechęcenie. Nawet własna bieda, własne nieszczęście może utwierdzić w egoizmie, gdy poza nim już się cudzego nieszczęścia dojrzeć nie potrafi czy nie zechce. To jest sprawa świadomego przewyciężenia bezwładu złego losu.

Nachodzą mnie te myśli w ciałniutkiej perspektywie ogródka jordanowskiego, gdy odstawiwszy kolejki pełne narzekania na uprzywilejowanych, przejechawszy zatłoczonym, warczącym na siebie tramwajem, przyglądam się teraz kilkulatkom grzebiącym w piaskownicy. Pierwsze przymiarki do solidarności. Oto zjawia się jeszcze jedno dziecko. - i tedy wśród tamtych, bawiących się, któreś wstaje, patrzy z wyczekującą aprobata : idzie nowy towarzysz zabawy idzie d o m n i e . I już uśmiech, już wyciągnięta zapraszająca zabawka - otwarcie na drugiego. Ale obok inne dziecko : patrzy spodo łba, nieprzyjaźnie, obraca się tyłem, zagarnia dokoła siebie zabawki, nawet te, które przed chwilą porzuciło, a na próbę kontaktu reaguje agresją albo milczeniem. Chcę być sam, nie potrzebuję nikogo, nie chcę by tu był ze mną ktokolwiek o b c y .

Ktoś już je wychował, i jedno dziecko i drugie, ktoś świadomie nawiązał do wrodzonej wrażliwości, podprowadził, dał klucz : to kolega, z kolegą trzeba wspólnie - a ktoś inny zdecydowanie zdmuchnął tę samą wrażliwość, wbił w pamięć podstawową zasadę : nie daj swego, swojego pilnuj, reszta nie twoja sprawa.

W świecie coraz trwarszym już prawie strach uczyć dziecko dobroci. To tak jakby chrząszcza pozbawić chitynowych powłok. Przeciż poranią i zdepczą. Ileż to razy widzieliśmy. Więc rozczapierzamy nad nimi naszą wciąż niespożytą energię - niech się czują bezpiecznie i zaopatrzone. I w przepchnionym autobusie matka syczy do ośmiolatka, który podnosi się, żeby komuś ustąpić miejsca : siadać w tej chwili; słyszałeś ? siadać ! Ale inna, matka kilkoletnia dzieci, mówi do nich pogodnie w czasie wizyty : tylko zostawcie innym trochę, nie jesteście sami do tych owoców. I o dziwo - dzieciom wcale nie żal, nie czują się obrabowane. Już doświadczyły, jak się dzielić.

Schowane za bezpiecznym murem naszego egoizmu, nigdy się nie dowiedzą, jak się praktykuje współczucie. I co znaczy - zauważać innych. Stracą słuch na wszelkie sprawy poza własnym interesem. I bardzo szybko przestaną rozumieć nawet naszo, najbliższych, wzruszenia i potrzeby.

To prawda, niewiele nas skłania, by wychowywać do solidarności. By jej uczyć i jej pomagać. Musi to być decyzja na przekór, decyzja heroiczna i taka, za którą się płaci. Jeśli się chce przygotować zmianę w sztafecie, nie pozostać kiedyś z pałeczką zawieszoną w próżni.

czerwiec 1982

### WYRASTANIE Z BARBARYSTWA

Małe dziecko jest niszcycielem. Działa destrukcyjnie. Cieszy je ruch - więc popycha, rzuca, tłucze przedmiotem o przedmiot. Fascynują je zmiany zachodzące w przedmiocie : oto przemieści się, rozpada na wiele części, wydają dźwięki - ileż wrażeń ! A jeszcze doznania dotykowe - zanurzać ręce, chlapać, miesić, smarować - jaki żywy kontakt z materią, ile możliwości. Wszystkie one prowadzą do demontażu, do zniszczenia - ale tak poznaje się świat.

Potem są dwie drogi : droga, która wiedzie do twórczości, i droga, na której pozostaje samo zniszczenie. Ta pierwsza : oto z bezmyślnego ruchu wyłania się ruch sterowany - kierowanych pojazdów, gier ruchowych, fantazji ożywiającej przedmioty martwo. Demontaż zastąpiony przez konstrukcję : dziecko buduje, organizuje przestrzeń, coś wznieśli i stara się utrwalić. Opanowuje po kolei materię : piasek i glinę, wodę i kamienie. I odkrywa, że to o wiele ciekawszo, o wiele wspanialszo. Na miarę jego wrostania, rozwoju.

Na tej drodze potrzebny jest przewodnik, mistrz. Kteś to pokaże, jak z niszcycielskiego chaosu przechodzić do organizowania ruchu i przedmiotów. Albo kogo się podpatrzy. Wystarczy mądrzejszy kolega w piaskownicy, czasem przygodny majster, kole którego stoi się śladem każdy ruch rąk. Bezecne przeżycie, gdy w takiej sytuacji ktoś powie : widzisz - to tak się robi. Pomóż, włącz się, pokażę ci.

Jeśli zabraknie takiego wtajemniczenia, mija dzieciństwo, a zostaje przyjemność infantylnej destrukcji. Dziesięcioletnie dziecko huśta się na podłaskawym konarze; gromada wy-



rosteńców celuje kamieniami do butelki unoszącej się na wodzie; na boisku szkolnym odchodzi pracowicie doformowanie puszki po lekarze: każdy skok na nią powiększa wgłębienie. Zostaje przyjemność wyrwania koszy ze śmieciami, pięćdziesiątka obić - przyjemność demontażu, pasjonująca u parolątka, żalosna u niby-dorośliwych. I zostaje obojętność na nicłaad - nawet jeśli się samemu do niego nie przyczynia.

Któregoś roku przez kilka wakacji co niedziela przejeżdżałam obok pięknej kaplicy przydrożnej: kilkuset ludzi uczestniczyło we Mszy, ale do końca sezonu furka w ogrodzeniu tak samo wisiała na jednym gwoździu - ten widok nikomu jakoś nie sprawiał przykrości.

Normalną koleją rzeczy dziecku pomaga dom. Organizacja domu to przeciwieństwo barbarzyństwa. Tam panuje praca twórcza, praca, która daje owoce namacalne, widzialne: tam się wyciąga ciasto z pieca i zeszywa rozdarte ubranie, tam się skłaja zabawkę, wbija potrzebne gwoździe, uprawia grządki; i zawsze wynika z tego na nowo ład, który cieszy, a doświadczenie momentu, w którym ten ład ukazuje się oczom, starcza za lekcję życiową. Pod warunkiem, że rodzice są przewodnikami i zapraszają do współuczestnictwa.

I pod warunkiem, że w otoczeniu domu nie narbył wiele przeoczyć będzie pracy pożytecznej, pracy twórczej, że nie będą niszczone dzieła rąk ludzkich, a praca zamieniana w wysiłek z założenia jałowy, upadający jak niewolnictwo.

lipiec 82

### „... ZŁE SIĘ SYN TWÓJ PAWI ...”

W wydanej przed rokiem książce "Poznański Czerwiec 1956", ówczesny przywódca protestujących robotników od Cegielskiego, Stanisław Matyja, wspomina początki swojego protestu i usiłowań dobitcia się sprawiedliwości.

Trzy lata przed Czerwcem, w roku 1953, radiowęzeł zakładowy ogłosił o nagłym znacznym podwyższeniu norm, tłumacząc równocześnie, jak wiele na tym robotnicy zyskają.

Matyja był wówczas dwudziestoparoletnim chłopakiem.

"Byłem wzburzony do tego stopnia, że wziętem noż tapicerski i zacząłem się wspinać na słup głośnikowy, aby przeciąć druty i aby dźwięk mowa władzy nie drażniła ludzi".

Drutów nie przeciął, powstrzymali koledzy, ale to był początek protestów coraz skuteczniejszych, coraz dojrzalszych, które skupiły dokoła niego załogę.

Wtedy, w roku 53, taki odruch to nie były żarty - terror nie wyrażał się tylko w pogroźkach gazetowych, był namacalny, wszechobecny.

W biernym otoczeniu przynięcionych wyzyskiem ludzi - chłopak, który nagle nie potrafi ścierpieć krzywdy i jawnego zakłamania. Kto go tego nauczył i gdzie? Czy taki stopień determinacji i odwagi, taki wyraźny głód sprawiedliwości rodzi się z powietrza? Ktoś czy coś go przedtem kształtowało, jego niezależność wewnętrzna, kręgosłup nieskory do zginięcia, potrzebę stawiania w obronie słuszności.

Nie porozmawiamy z rodzicami czy nauczycielami Matyi. Wyobrażam sobie jednak, że mieli z nim trochę kłopotu. Chyba nie należał do dzieci "grzecznych": takich, które tylko rozglądają się, jak się dopasaować do otoczenia i zasłużyć sobie na jego aprobatę.

Ktoś go też musiał nauczyć - może nie słowami, może przykładem tylko - że bywa sprawa, o której warto i należy się bić, czasem dosłownie, czasem w przenośni. Choćby nawet w związku z tym otoczenie zgłaszało pretensje do wychowawców.

Wszyscy, którzy rodziców i wychowawców pouczają i rozliczają - a just ich móstwo - upodobali sobie jeden wzorzec: grzeczności.

Jego właściwa miara to zadowolenie otoczenia, zwierzchności przede wszystkim. Najpierw dziecko, które nie sprawia kłopotu, potem uczeń, który nie sprawia kłopotu, potem student terminator, praktykant - również niekłopotliwy. Taki, który bezbłędnie odgaduje, czego od niego chcą, i albo podporządkowuje się naprawdę, albo przynajmniej nie daje po sobie poznać, że się nie zgadza.

Podwładni z takich wychowanków złożeni są łatwi do kierowania.

Ale nie wszystkiego można się po nich spodziewać. Na ogół nie wychodzą obronną ręką nawet z takiej próby, w której, jak u Solżenicyna, trzeba li tylko być tym **p i e r w - s z y m**, który przestanie klaskać.

A gdy idzie o dawanie świadectwa? O obronę słabszych? O potrzebę prawdy?

Rodzice "grzecznych" śpią wtedy spokojnie: ich dzieci są przy nich i nigdzie się nie wybierają. Nie podejmują żadnego ryzyka. Niewiele osiągną w ten sposób, może dla wspólnego dobra nie osiągną nic, ale są za to bezpieczne.

Pod obatrzałem upomnień i dezaprobaty znajdują się ci inni: ci, których dzieci, dokonawszy wyboru, chcą nie płacić cakiymi aobą, na serio bioreć i prawdę, i sprawiedliwość, i wspólnotę.

lipiec 82



Amerykańska autorka Barbara W. Tuchman, w ostatnich dwudziestu latach zdobyła światową sławę, a jej książki dwukrotnie zostały odznaczone prestiżową w Stanach Zjednoczonych nagrodą Pulitzera.

Jest to tym bardziej zadziwiające, że pani Tuchman nie pisze ani powieści, ani dzieł naukowych. Jest autorką książek popularno-naukowych z dziedziny historii, napisanych z ogromną erudycją, a zarazem czytelnych i zajmujących.

Miała tłumaczenia na wiele języków /z wyjątkiem rosyjskiego/. Po polsku ukazała się niedawno książka "Salwy sierpniowe" /o pierwszej wojnie światowej/, a w druku jest "Wyniosła wieża" /o przełomie XIX i XX wieku/.

Ostatnie dzieło Barbary Tuchman ma dziwny na pozór tytuł "Marsz szaleństwa" /"The March of Folly"/.

Sprawę wyjaśnia nieco podtytuł "Od Troi do Wietnamu", a pierwsze zdanie nie pozostawia wątpliwości co do zamiarów autorki: "Zjawiskiem - jak pisze - dającym się zauważyć poprzez dzieje, bez względu na miejsce czy okres, jest dążenie rządów do prowadzenia polityki sprzecznej z ich własnym interesem".

Właśnie tego rodzaju politykę, zmierzającą nieuchronnie do osiągnięcia celów sprzecznych z zamierzonymi, autorka uważa za "szaleństwo". Swą myśl przewoźnią pani Tuchman podbudowuje szczegółową egzemplifikacją.

Zaczyna, jak wynika z podtytułu, od wojny trojańskiej. Przecież - wywodzi - gdyby władcy Troi nie popełnili szalonego głupstwa i nie dali się nabrać na podstęp Gereków z "konniem trojańskim", to by wojny nie przegrali. Co więcej - dodaje - znaleźli się ludzie, którzy ich przestrzegali przed popełnieniem tego błędu, jak np. legendarny Laokoon czy Kasandra. Element przestrogi, które mogłaby uchronić kolejnych władców przed ich szalonymi decyzjami, odgrywa istotną rolę również w dalszych wywodach autorki.

Kolejnym chronologicznie przykładem jest zdobycie Meksyku przez hiszpańskich konkwistadorów pod wodzą Hernana Cortesa na początku XVI wieku. Król Azteków Montezuma popełniał jeden błąd po drugim, aż musiał przegrać, choć jego siły zbrojne tysiąckrotnie przewyższały pod względem liczebnym Hiszpanów. "Szaleństwo /władców/" - pisze autorka - nie zawsze daje się wytłumaczyć".

Przechodząc swobodnie do różnych epok i różnych krajów, Barbara Tuchman poświęca odrębną część książki problemowi upadku papieństwa w końcu XV i na początku XVI wieku, krańcąc w sposób dobitny i niekiedy drastyczny sylwetki papieży Sykstusa IV, Innocentego VIII, Aleksandra VI, Juliusza II, Leona X i Klemensa VII /lata 1470-1530/.

Zdaniem autorki gdyby nie "szaleństwa" tych papieży, gdyby nie popełniali oni rażących błędów religijnych i politycznych, gdyby nie godzili się na korupcję i rozpustę w Państwie Watykańskim, gdyby stosowali się do porad i ostrzeżeń trzeźwych doradców - nie musiałyby dojść do Reformacji, Marcin Luter nie ogłosiłby w 1517 roku swych słynnych 95 tez a Kościół mógłby zachować jedność.

Stosunki w Watykanie w tym okresie skłaniają autorkę do ogólniejszej refleksji, którą może warto cytować: "Szaleństwa nie muszą mieć ujemnych skutków dla wszystkich zainteresowanych stron. Reformacja, spowodowana przez szaleństwa papieży epoki Odrodzenia, nie będzie powszechnie uznana za nieszczęście przez protestantów. Amerykanie na ogół nie uznają swej niepodległości, spowodowanej przez szaleństwa Anglików, za rzecz godną pożalowania. Można dyskutować, czy zdobycie przez Maurów Hiszpanii ... miało skutki pozytywnie lub negatywne, lecz nie ulega wątpliwości, że podbój Hiszpanii był następstwem szaleństwa jej ówczesnych władców".

To nas prowadzi do kolejnego interesującego fragmentu książki, a mianowicie do przegranej przez Wielką Brytanię wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Barbara Tuchman zwraca uwagę, że napisano już wiele książek na ten temat, ale z reguły były to prace przedstawiające przede wszystkim wydarzenia na kontynencie amerykańskim. Natomiast naszą autorkę interesują, co się działo w Londynie, a dokładniej na dworze króla Jerzego III i wśród jego ministrów i doradców.

Napisana z temperamentem część książki wykazuje, jak dalece politycy angielscy byli zdezorientowani co do tego, co się dzieje za Atlantykiem, jak bezmyślnie upierali się przy swoich ustawach i rozrachunkach, jak lokowali wszelkie trzeźwe przestrogi i jak musieli przegrać wojnę z powodu własnego - autorka lubi to słowo - "szaleństwa".

Zdaniem Barbary Tuchman, w ciągu narastającego przez lata zatargu między Wielką Brytanią a jej amerykańskimi koloniami, istniało wiele możliwości poszukiwania kompromisu, który by umożliwił taką czy inną formę współistnienia czy konfederacji dwóch państw an-



głosaskich. Ale władcy brytyjscy zaprzepaścili wszelkie możliwości uniknięcia wojny, utracili szansę porozumienia, a rozmawiając w stylu "co by było, gdyby ..." nie mają obecnie większego sensu. Autorka poprzestaje na stwierdzeniu, że po raz kolejny szaleństwo władców doprowadziło do ich zguby.

Przechodząc do najważniejszej i może najciekawszej części książki /200 stron z 500/, a mianowicie do rozdziałów zatytułowanych "Ameryka zdradza samą siebie w Wietnamie". Wydaje się, że omówienie tej części wymaga dwóch wstępnych uwag.

Po pierwsze, nienawiść do "czornych" skłania u nas wielu skądinąd rozsądnych ludzi do głoszenia tezy, że Stany Zjednoczone słusznie interwenisowały na Półwyspie Indochińskim i że niepotrzebnie się stamtąd wycofały.

Barbara Tuchman nie zgadza się z takim poglądem nie dlatego, że kocha "czornych" /bo ich nie kocha/, ale dlatego, że jej zdaniem wojna amerykańska w Wietnamie była nie do wygrania, co więcej, była z góry skazana na klęskę.

Po drugie, krytyka agresji amerykańskiej nie jest równoznaczna z pochwałą rożimu panującego obecnie w Wietnamie, Laosie czy Kambodży. Jest to rożim w jak najgorszym wydaniu stalinowskim, z wszystkimi tego konsekwencjami, jak kryzys gospodarczy i całkowity brak wolności obywatelskich. Ale dużo jest prawdopodobieństwo, że taki rożim tam się ukształtował właśnie wskutek agresji amerykańskiej.

Barbara Tuchman pisze: "Nowy porządek polityczny w Wietnamie /po wycofaniu się Amerykanów/ był w przybliżeniu taki sam, jaki by istniał, gdyby Ameryka nigdy nie interwenisowała, z tą tylko różnicą, że stał się bardziej mściwy i okrutny". Autorka dodaje: "Być może jeszcze większe było szaleństwo Hanoi, które tak niezachwycenie walczyło w ciągu trzydziestu lat o sprawę, by po wygraniu ustanowić brutalną tyranję" ...

Część wietnamska książki jest namietnym aktem oskarżenia pod adresem kolejnych prezydentów amerykańskich, ich doradców, ministrów i generałów.

Barbara Tuchman nie oszczędza ani Franklina D. Roosevelta, któremu zarzuca umożliwienie amerykańskich okrutów wojennych dla przewrotu na Półwyspie Indochiński francuskiego korpusu ekspedycyjnego już w roku 1945, ani Johna F. Kennedy'ego, który miał świadomość, że w interesie Stanów Zjednoczonych będzie wycofanie się z Wietnamu, ale zamiarzał to uczynić dopiero w 1965 roku /po wygraniu kolejnych wyborów prezydenckich w 1964 roku/, jak wiadomo, w 1963 roku został zamordowany.

W długim szeregu winowajców autorka umieszcza na pierwszym miejscu prezydenta Lyndona B. Johnsona, który rzeczywiście doprowadził agresję wietnamską do karnacji; to za jego kadencji liczba żołnierzy amerykańskich w Indochinach przekroczyła pół miliona, to na jego rozkaz zrzucono na Wietnam więcej bomb, niż na wszystkich frontach drugiej wojny światowej w Europie, to on doprowadził liczbę ofiar śmiertelnych - amerykańskich i wietnamskich - do wielość tysięcy.

"Wojowniczość - pisze Barbara Tuchman - którą administracja Johnsona zainicjowała i przy której obstawiała, była szaleństwem o tyle niezwykłego rodzaju, że absolutnie nic dobrego nie mogło z niej wynikać; wszystkie wyniki były szkodliwe - z wyjątkiem jednego: Przebudzenia gniewu ludu" /dla uniknięcia nieporozumień dodajmy: ludu amerykańskiego/. Autorka barwnie przedstawiła, jak w samych Stanach Zjednoczonych narastał opór przeciw agresji i jak wojna została przegrana w Stanach, a nie w Wietnamie.

Nie miałyby sensu powtarzać dziejów agresji amerykańskiej. Poprzestaję na dłuższym cytacie, od fragmentu otwierającego tę część książki:

"Ignorancja nie była składnikiem amerykańskich działań w Wietnamie, kontynuowanych w ciągu rządów pięciu kolejnych prezydentów, choć z czasem ignorancja stała się wynówką. Być może była ignorancja kraju i jego kultury, lecz nie było ignorancji przeciwskasań i nawet barier na drodze do osiągnięcia celów amerykańskiej polityki. Wszystkie warunki i argumenty, uniemożliwiające pomyślny wynik, były znane lub przewidywane w tym czy innym czasie w ciągu trzydziestu lat naszego zaangażowania /w Wietnamie/.

Amerykańska interwencja nie była stopniowym wsiąknięciem krok po kroku w nieznanne terytorium. W żadnym okresie ludzie decydujący o polityce nie byli nieświadomi ryzyka, przeszkód i ujemnych perspektyw. Wywiad amerykański funkcjonował należycie, informacje i obserwacje napływały stale z pola walki do stolicy, specjalne komitety badawcze wysyłano wielokrotnie, a nigdy nie brakowało niezależnych sprawozdań, by zrównoważyć zawodowy optymizm /władców/, gdy ten przeważał.

Szaleństwo polegało nie na zamierzeniu do celu przy ignorancji przeszkód, lecz na uporze przy tym wykazywanym, pomimo mogących się dowodów, że cel jest nieosiągalny, że skutki pozostają w dysproporcji do interesów amerykańskich i że ewentualnie stają się szkodliwe dla społeczeństwa amerykańskiego, dla reputacji państwa i dla potęgi, jaką dysponuje na kuli ziemskiej".

W ten sposób Barbara Tuchman tłumaczy kolejne etapy agresji wietnamskiej: eskala-



cje działań wojennych, oszukiwania własnego społeczeństwa i sojuszników, przekreślanie wszelkich prób mediacji /ze strony ONZ czy państw zaprzyjaźnionych/ i wreszcie kompromitacje polityków i wojskowych, zapowiadających wojnę rychło zwycięstwo.

Oho! autorkę interesuje niemal wyłącznie amerykańska strona wojny, znajduje ona miejsce zarówno dla podkreślenia beheterstwa zwyciężonych bojowników wietnamskich, jak i dla przedstawienia szaleństwa władcy z Hanoi.

Ale - jak pisze - "dla głowy państwa przyznanie się do błędów niemal nigdy nie wchodzi w grę" ... Dobrze o tym wiemy z własnych doświadczeń.

Po odłożeniu książki nasuwa się pytanie: dlaczego Barbara Tuchman nie napiszą ani słowa o agresji sowieckiej w Afganistanie?

Przecież to wątek, który idealnie pasuje do jej wywodów, bo to i szaleństwo sprawujących władzę polityków i pominięcie wszelkich przeciwwskazań i osiągnięcie celów odwrotnych od zamierzonych.

Nie potrafisz odpowiedzieć na pytanie w imieniu autorki. Dużo jest prawdopodobieństwo, że w końcu lat siedemdziesiątych gdy pracowała nad książką, jeszcze skutki wkroczenia wojsk radzieckich do Afganistanu nie były tak oczywiste, jak teraz.

Nie chciałbym zakończyć tę krytyczną uwagę. Więc należy jeszcze zwrócić uwagę na sposób pisania Barbary Tuchman, który zdobył jej rozgłos i który doskonale jest widoczny w omawianej książce. Autorka pisze zawsze klarownie i ciekawie, posługuje się barwnym językiem, nigdy nie zanadto, czytelnika, powołując się częstokroć na fakty i opinie, stosunkowo mało znane lub znane tylko specjalistom.

Do najlepszych części jej książek należą sylwetki osobistości, które w danym państwie i w danym czasie mogły podjąć zasadnicze decyzje.

Prezydenci amerykańscy, renesansowi papieże i kardynałowie, lordowie angielscy z końca XVIII wieku i z ich poddani - to pod jej piórem żywi ludzie, przyciągający czytelnika bez względu na to, czy z nimi sympatyzuje, czy ich potępi.

Niezapomniany Paweł Jasienica w ten sposób pisał o dziejach Polski.

Barbara Tuchman interesuje się nie tylko swoim krajem, lecz historią całej ludzkości.  
Recenzent.

#### NAGRODA "PRAWOŚCI" DLA LECHA WAŁĘSY

W 1983 roku grupa kalifornijskich intelektualistów i społeczników utworzyła "Integrity Foundation" wspierającą rozwijający się w Stanach Zjednoczonych ruch społeczny, którego celem jest szerzenie idei prawości, zjednoczenia ludzi różnych narodowości, wyznań i ras najszerzej rozumianej służbie dla dobra człowieka.

Twórcy "ruchu prawości" pragną aby działalność ludzi, których nazywają prawymi przywróciła harmonię na ziemi, a przez to stworzyła warunki dla możliwości pełnego rozwoju sztuki, nauki, zdrowia, praworządności i wszystkiego co służy ludzkiemu szczęściu i lepszym stosunkom międzyludzkim.

Fundacja Prawości /pełna nazwa John-Roger and Integrity Foundation/ poza organizowaniem różnych imprez w 42 stanach Ameryki Północnej i Kanady przyznaje dorocznie nagrody tym osobom, których działalność lub twórczość przyczyniła się do realizacji tych właśnie idei. Nagrody Prawości otrzymali już m.in. Mahatma Gandhi /pośmiertnie/, dr Jonas Salk /twórca pierwszej szczepionki przeciw chorobie Hejnogo-Mediny/, Matka Teresa z Kalkuty, biskup Desmond Tutu.

Nagrodę za 1986 rok przyznano Lechowi Wałęsie. W uzasadnieniu decyzji stwierdzono, że Lech Wałęsa, jak mało kto spełnia warunków sformułowany przez twórcę fundacji o "odwadze w głoszeniu prawdy, a Związek "Solidarność", któremu przewodzi jest niespotykaną nigdy na świecie organizacją jednoczącą ludzi różnych zawodów i przekonań. Odwaga, z jaką działacze "S" walczą o ideały bliskie milionom ludzi na całym świecie budzi podziw i służy na najwyższym uznanie. Lech Wałęsa sprawił, że "S" stała się przykładem dla nas wszystkich".

W uroczystościach ogłoszenia decyzji w Beverly Hills o przyznaniu nagród "Prawości" na zaproszenie organizatorów wzięła udział dr. Zofia Kuratowska. Wręczenie nagród odbędzie się 24 października w Los Angeles.

Nagroda "Prawości" jest dużym zaszczytorem i radością dla nas wszystkich.

Laureatowi nagrody Lechowi Wałęsie serdecznie gratulujemy.